Nr. 2. Poznań, Niedziela 8go Kwietnia 1894 r. Rok I.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.

Redakcya: Poznań, Bramkowa ul. 7.

Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Prenumeratę:
w Poznaniu: przyjmuje Administracya, Piekary 7, za M. 3 kwartalnie.
w Niemczech i Austryi: urzędy pocztowe za M. 3,75 kwartalnie pod lit. II. t. 86 a.

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedynczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

☞ Dla uniknięcia nieporozumień zwracamy publiczności uwagę, że administracya nasza przyjmuje przedpłatę od czytelników miejscowych. Zamiejscowi mogą zapisywać „Przegląd“ jedynie na poczcie. Czytelnicy, mieszkający po za obrębem niemieckiego związku pocztowego, otrzymają na życzenie organ nasz pod opaską za osobną dopłatą.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Ubywające siły.

Wychodźtwo masowe ludu polskiego nie od dziś jest przedmiotem uwagi; nieraz zabierano głos w tej sprawie, a trzeci zjazd prawników i ekonomistów polskich w Poznaniu uznał za stosowne utworzenie osobnej sekcyi, która oddać się miała zbadaniu i rozjaśnieniu kwestyi emigracyi. Rezultaty, do jakich sekcya wspomniana doszła, nie zostały jeszcze oficyalnie ogłoszone; podobno jednak krótkość czasu i nawał materyału sprawiły, że w sekcyi poruszono tylko sprawę wychodźtwa z kilku odrębnych stanowisk, przyczem wyszły na jaw niektóre poglądy, zastanawiające swoją naiwnością.

Słuchając tych wynurzeń, mieliśmy wrażenie, jakby ani chrześcijańska zasada równości, ani doświadczenia historyczne, ani zdobycze wiekowej cywilizacyi nie miały żadnego wpływu na sposób myślenia i rozumienia u pewnej sfery, a nawet u takich z pośród niej, co powodowani przymiotami serca pragnęliby w stosunku do „maluczkich“ zająć stanowisko łagodnych i troskliwych opiekunów.

Zawsze w ich oczach chłop jest jakimś odmiennym gatunkiem człowieka, o którego zachowanie wprawdzie troszczyć się należy, ale który powinien pozostać w pewnych, dość ściśle oznaczonych granicach, nie mają dlań tej samej miary, którą stosują do analogicznych objawów u ludzi z własnego otoczenia.

Stanowisko takie jest doskonale jasnem jako świadome lub też instynktowe w walce o byt; nie można zaprzeczyć, że w miarę rozszerzania potrzeb swoich, warstwy niższe wkraczają w sferę interesów warstw położonych wyżej. W interesie samozachowania leży zatem owo ścisłe utrzymanie granic i byłoby ze stanowiska interesu pracodawców zupełnie uzasadnionem, gdyby nie pewne niekonsekwencye, które są poniekąd charekterystyczne w naszych stosunkach.

Mieszanina — złych i dobrych popędów, sobkostwa i tkliwych uczuć, interesu i ofiarności, w połączeniu z wiekowem przyzwyczajeniem do uważania korzyści, stosunkowo nielicznej warstwy za sprawę dobra publicznego — jest źródłem tych niekonsekwencyj, a objawiają się one na każdym kroku. To w postaci popierania ludowej oświaty i opierania się jej rezultatom, to jako uznawanie ludu za najsilniejszą podstawę narodowego bytu i jednocześnie odmawianie mu głosu i kompetencyi w najżywotniejszych sprawach, to znów jako idealizowanie, „wiejskiej prostoty“, „chłopskiego rozumu“, hartu i niespożytej wytrwałości wieśniaka z jednej strony, a potępianie tego samego rozumu, hartu i wytrwałości w chwili, kiedy one z poetycznej mrzonki rzeczywistością się stają.

Wśród takiego pogmatwania pojęć, stracono zupełnie z oczu granicę, na której kończy się sprawa dobra ogólnego, a zaczyna interes nielicznej części społeczeństwa. Zapomniano, że zniżenie pracy i uszczuplenie dochodów pracodawcom, na którem zyskuje „podstawa narodu“, nie jest jeszcze klęską publiczną.

Te i inne przyczyny sprawiły, że ogół naszego społeczeństwa nie zdobył się dotychczas na zajęcie trzeźwego stanowiska wobec kwestyi, tak zresztą prostej i jasnej, jak właśnie wychodźctwo. Czem ono jest w istocie? Przedewszystkiem dążeniem za pracą i zarobkiem.

Warunki ekonomiczne naszego kraju pozostawiają tysiące rąk niezajętych, lub każą im zadawalniać się niezmiernie lichem wynagrodzeniem.

Stan taki nie może być w naszych czasach trwałym; przy ułatwionych środkach komunikacyi, przy uprzystępnieniu drukowanego słowa, przy pewnem, choć słabem jeszcze, rozbudzeniu mas z długoletniej apatyi, rodzi się u nich i przedsiębiorczość w kierunku zyskowniejszego zbycia własnej pracy. Przedsiębiorczość taka, jeżeli się zjawi wypadkowo, u którego z synów warstwy wyższej (najczęściej niestety w powieści tylko) bywa otaczana aureolą bohaterstwa i poświęcenia, jeżeli jednak pchani nią chłopi gromadnie dążą w obce kraje po zarobek, szukamy objaśnienia tego zjawiska w nienasyconej chciwości chłopa, a co więcej „w niemoralnej chęci wyłamania się z pod władzy i poszukiwania wrażeń....“

W najlepszym razie zwala się winę na agentów namawiających ludność do wychodźctwa. Nie mamy wcale zamiaru brać w obronę spekulantów, łudzących i wyzyskujących chłopa obietnicami niebywałych bogactw, zwracamy jednak uwagę na to, że żaden agent, ani żadna siła ludzka nie zdoła wywołać ruchu masowego, jeżeli przyczyny jego nie tkwią głębiej, jak w danym wypadku — w ekonomicznej niedokrwistości kraju.

Stosując się do metody poszukiwania winowajców zjawisk społecznych, w każdym razie nie między te szare masy iść po nich należy; nie chcemy jednak poruszać ponurej przeszłości w której wina i ofiara — grzech z pokutą tak się krzyżują, iż dla jednej i drugiej strony nic nie mamy oprócz współczucia. Nie stare rany krwawić, lecz nowe i bolące goić pragniemy, nie winnych wskazywać, lecz jasno postawić fakt i sprawiedliwie go określić pragniemy.

Faktem, którego przyczyn nie roztrząsamy na razie, — jest chwianie się ogólne wielkiej własności ziemskiej; zrujnowane albo w niemieckie ręce przechodzące dominja pozbawiają lud roboczy głównych środków utrzymania, a niewielka ilość zasobniejszych lub trzeźwą pracą dźwigniętych majątków oraz zwolna rozwijający się przemysł nie są wstanie zająć wszystkich rąk pracy pozbawionych. Faktem również jest zapanowanie maszyny w gospodarstwie rolnem, która setki najmitów pozbawiła zarobku. Rzeczywistości tych faktów nie zdoła nam zaprzeczyć żaden, choćby najbardziej stronny umysł. Zgódźmy się zatem na logiczną konsekwencyę nagromadzenia ekonomicznych bodźców, które swój wpływ wywierać muszą i wywierają.

Siła muszkułów jest jedynym towarem, jedyną własnością najmity; mniej lub więcej korzystne zbycie tego towaru jest jednocześnie kwestyą bytu całej rodziny. Dla czego więc masy ludu roboczego, szukające nowych rynków pracy, mają być mierzone inną miarą niż każdy producent? Czy dla tego, że pracy swej w workach jak zboże nie mogą wysłać, lecz ciągną sami o głodzie i w nędzy tam, gdzie się im lepszy zarobek przedstawia.

I oto wytrwałe „Ślimaki“ opuszczają swoje „Placówki“, „Chamy“ idealne żegnają niezgłębione tonie rzek rodzinnych i ciągną w daleki świat po pracę, której im politycznie i ekonomicznie zrujnowana ojczyzna dać nie może! Zatrzymajcie ich, wy wszyscy, co marzyliście, że wielka siła i wytrwałość kmiotka pozwoli mu zwalczyć, budzącą się potrzebę życia! Wy, co myśleliście, że w bezdennej toni jego duszy znajduje się także skład materyałów spożywczych.

Bolesna ironja życia zadrwiła z nas, zadrwiła zarówno z tych, co myśleli, iż masy ludowe są po to, żeby wspierać swą pracą egzystencye kilku wybranych, jak i z tych, co roił o wznowieniu patryarchalnych stosunków ojcowskiej opieki dworu nad chatą i wiecznej zależności ostatniej...... Chłop jest człowiekiem, równym nam obywatelem, co jest cnotą w obywatelu — cnotą jest i w chłopie także, rosną potrzeby jego i wymagania — nie wystarczają dawne warunki życia, pragnie żyć jak inni i szuka, tymczasem w fałszywym może kierunku, środków zaspokojenia wzmagających się potrzeb.

Wobec tak silnych dźwigni społecznych, znaczenie agenta maleje do roli pasożyta, kar-

miącego się na wielkim ruchu ludowym, a ubolewania i gromy potępienia, walące się na wychodźców, rażą zgrzytem zagrożonego interesu, albo skargą zawiedzionych marzeń o patryarchalnej sielance.

Czynnikom ekonomicznym nie przeciwstawia się frazesu. Wychodźtwo jest właśnie logicznem i nieuniknionem następstwem takich czynników, i gdyby rzucone nań frazesy zdołały masy ludu, pozbawionego pracy, zatrzymać w kraju, wtedy dopiero stanęlibyśmy wobec kataklizmu społecznego, któryby znów przeraził tych najbardziej, co dziś największe gromy na emigracyę rzucają.

Niemieckie towarzystwo polityczno-społeczne przedsięwzięło zbadanie stosunków robotników wiejskich. Rezultat rozesłanego kwestyonarjusza — około 3000 odpowiedzi, — opracowany przez uczonych, jak Lesch, Weber, Frankenstein rzuca ciekawe światło na wzmiankowane stosunki.

Dla nas najciekawszą jest opinja profesora Seringa, który oddzielnie zbadał stosunki wschodnich Niemiec. Dopatruje on jednej z głównych przyczyn wychodźtwa w nienormalnem ukształtowaniu stosunków rolnych i pozbawieniu mas ludu pracującego praw do roli. Beznadziejny ten stan wzmaga w wysokim stopniu gorączkę szukania szczęścia na zachodzie i za oceanem. Zadaniem zatem państwa jest, według zdania prof. S., stworzenie dróg i ułatwienie możliwości podniesienia się robotnika do poziomu właściciela. Społeczeństwo polskie nie może, naturalnie, w chwili obecnej wobec dążeń komisyi kolonizacyjnej liczyć na uwzględnienie przez rząd tej opinii niemieckiego uczonego. Pozostawione własnemu przemysłowi ma w banku ziemskim instytucyę, która przy dobrem zrozumieniu obowiązków przez ogół, może choć w części przeciwdziałać korzystnie wychodźtwu.

Obok wymienionej opinii, pozwolimy sobie przytoczyć zdanie niedawno zmarłego filozofa i ekonomisty: ś. p. August Cieszkowski wskazał nam drogę udziału najmitów w dochodach, jako środek polepszenia ich bytu i poprawy nienormalnych stosunków zarobkowych.

Tylko reforma ekonomiczna kraju, jak największe ułatwienie nabywania ziemi, równomierne do potrzeby pracy rozwinięcie przedsiębiorczości kapitału i radykalna zmiana stosunku pracodawcy do najmity mogą ubywające nam siły zatrzymać.

Zatrzymać je może praca na miejscu — nie frazes!

J. Rastawica.

Bank ziemski w Poznaniu.

W dziejach społeczeństw jest mądrość, wyższa ponad zbiorowy rozum i czyn wszystkich jednostek, jest czarno-biała nić fatalizmu i opatrzności, jest odwieczna logika faktów, wobec której pygmejami są myśliciele i władcy tego świata. Żelaznych despotów i parlamenty do rozpaczy doprowadzić może widok, gdy w popiołach, przeznaczonych zwykłym porządkiem rzeczy na rozwianie, kiełkuje nowa siła żywotna, gdy pod wpływem prześladowań utwierdza się wiara, gdy walka exterminacyjna przeciw narodowości wywołuje rozkwit rodzimego obyczaju i języka, gdy gwałtowne wydziedziczanie i rugowanie z posad ojczystych szczepu zrosłego ze swoją ziemią pociąga za sobą jego wzrost i jego rozplenienie.

Jedną z takich czarnobiałych nici przeznaczenia jest w naszej dzielnicy walka, która się toczy o posiadanie ziemi.

Zdawało się, że panujący rozum stanu pochwycił w samą porę sposobność, aby, korzystając z ogólnego przesilenia rolniczego i społecznego rozkładu owego ducha szlacheckiego, którym dawna Polska przyświecała cywilizacyjnej Europie od wschodu, resztę gruntu z pod nóg wydrzeć synom tej ziemi. Zdawało się w danych warunkach, że potędze 100-milionowego kapitału i aparatu rządowego nie stawi czoła żadna siła ludzka, którą matematycy polityczni mogliby przewidzieć i obliczyć.

A jednak była i jest logika faktów, która w tym wypadku przedstawia nam się jako biała nić, snująca się wśród czarnych cywilizacyi ruin ku opatrznościowemu odrodzeniu narodu. Rozprzęgał się — z winy, czy bez winy swoich przedstawicieli — ustrój szlachecki własności ziemskiej, a rozkład jego — z intencyą, czy bez intencyi wynarodowienia całego kraju — przyspieszać chciał rząd złowrogo obmyślanemi ustawami wyjątkowemi. Dreszcze przedśmiertne wywołały straszliwe złudzenie, że cios wymierzony przeciw głowie narodu, powali o ziemię ciało jego. Lecz niebawem okazało się, że przedmiot operacyi nie był już żywą głową społeczeństwa naszego, lecz starym pniem strupieszałym, który powalą prędzej czy później burze społeczne, a którego upadek przysporzy soków żywotnych roślinnym pędom z odmładzającego się wiecznie korzenia. Z zamętu tych bezwiednych prądów rozkładowych i chybionych zamysłów politycznych wyłania się nowa istota społeczna, której przeznaczeniem jest dziedzictwo ziemi i podźwignięcie zbrukanego sztandaru narodowego, — włościanin polski, jako obywatel! Długoby jeszcze czekać może wypadło na ten wynik mądrości dziejowej gdyby nie fatalizm upadku szlachtczyzny i przerafinowana polityka exterminacyjna bismarkowskich rządów.

Na tle tak niespodziewanego obrotu rzeczy powstała instytucya z równie nieprzewidzianym rozwojem kierunku ekonomicznego — Bank ziemski, którego istnienie przenika ta sama prawie nić opatrzności, powołująca do życia obywatelskiego tłumy włościaństwa, a na którym w szczególniejszy sposób logika faktów dowiodła swej potęgi wbrew kalkulacyom ludzkim.

Kiedy pod grozą ustawy o kolonizacyi niemieckiej przystępowano do założenia Banku ziemskiego, założyciele i składkujący wiedzeni byli chyba uczuciem tonącego, który brzytwy się chwyta. Myślano sobie, że „coś“ dla zadokumentowania „czegoś“ zrobić trzeba, ale uderzywszy się w piersi, nikt nie wiedział, co czynić. Programów było naturalnie dużo, jak toastów przy polskim obiedzie, ale przypuszczano tylko, że bank ma ratować upadającą wielką własność i bronić ją przed kolonizacyą; ztąd powstała nawet ironiczna nazwa „banku ratunkowego“. Nikomu zaś przez myśl nie przeszło, że nowa instytucya będzie rozkład ustroju szlacheckiego poniekąd popierać, przyspieszać i ułatwiać, aby punkt ciężkości w gospodarstwie rolniczem przełożyć na barki nowych żywiołów włościańskich, rozmnorzyć ich siedziby, podnieść dobrobyt i znaczenie obywatelskie, a tym sposobem przygotować radykalną reformę stosunków agrarnych.

W tym kierunku postępując, Bank ziemski — bądź wprost sposobem komisowym, bądź za pośrednictwem utworzonych przezeń Spółek ziemskich, bądź wreszcie za pomocą inaugurowanego tymczasem prawodawstwa rentowego — rozparcelował do połowy r. 1893 41 majątków, utworzywszy 729 nowych jednostek gospodarczych, czyli osad, na ogólnym obszarze 32 tysięcy morgów, przyczem akcyonaryuszom dawał regularnie 4 proc. dywidendy i uzbierał funduszu rezerwowego blisko 40 tysięcy marek.

Lecz nie o to nam chodzi, aby powtarzać opis znanej powszechnie i uznanej (nawet przez władze państwowe) działalności Banku ziemskiego, jak raczej o to, aby scharakteryzować moralny i materyalny nastrój tej warstwy społeczeństwa naszego, która zresztą chlubić się może z danej bankowi — aczkolwiek nieświadomej celu — inicyatywy.

Gdy pomimo pierwotnego zapału dla Banku ziemskiego składki płynęły powoli i tylko jedna Galicya zadość czyniła obowiązkom wzajemnej pomocy, tutaj zapominając już o własnej potrzebie, kiwano głowami i mówiono: dosyć będzie 1,2 miliona tych składek, niechaj tylko bank z tym kapitałem rozpocznie czynność,

---

2) CEZARY JELLENTA.

TRYUMFY PANA WALEREGO.

W tem miejscu panna Jadwiga nieznacznie odwróciła głowę w stronę okna, udając, że się w nie pilnie wpatruje. Oczywiście przedmiot rozmowy stawał się jej trochę niemiłym. Gotową byłaby dać słowo, że nie ma pojęcia, o czem ci dwoje państwo mówią.

— Ach, nie, ja wcale nie pochwalam zbytnej w tym interesie skwapliwości, ostatnie słowa wyrzekł z naciskiem — ale widząc, że wszystkie moje byłe uczennice wysuwają się jedna za drugą…

— To pan ma szczęśliwą rękę! Doprawdy, mamy powinny się złożyć i ofiarować mu…

— O słucham, słucham panią, tylko sobie wezmę krzesło.

— Upominek, dajmy na to, z napisem: Najlepszemu… eh, nie, to nie maluje dostatecznie sprawy — o tak naprzykład: Najskuteczniejszemu z profesorów.

— O, ma pani racyę! Za skuteczność swoją ręczę — podchwycił ironicznie, kładąc rękę na piersiach.

Tu panna Jadwiga, zawzięcie wpatrzona w pokryte szronem okna odwróciła się nieznacznie i zamieniła bystre spojrzenie z panem Walerym. Był to odruch panny dojrzałej, może doświadczeńszej i wcale już nie naiwnej. Przecie takie sekundowe porozumienie nie kompromituje i nic nie wyraża, a zawsze trochę łechce nerwy…

— Ale na mnie — ciągnęła dyalog panna Runicz — nie prędko się ta zaleta mojego byłego mistrza sprawdzi, za to ręczę panu!

I znów zaśmiała się czystym, srebrnym głosikiem.

Walery miał już wielką ochotę wyprowadzić dziewczynę w pole, na manowce, ażeby jej potem odrazu otworzyć oczy na całą przebytą drogę dwuznaczników, ale uległ dwu skrupułom. Panna Runicz była dość powabną i młodziutką, ażeby bez pewnego niesmaku można było traktować ją jak młodą mężatkę, a powtóre, cóż za rozkosz w obecności osoby trzeciej i w dodatku uzurpującej pieprz na swoją korzyść?

— A mnie jednak dochodziły pogłoski, jakoby pani była zaręczoną no, i przyznam, że srodze nad tem ubolewałem. Tak młodo…

— „Tak młodo, i umrzeć mam tak wcześnie!“ — to coś z „Żydówki“ Halevego, nieprawdaż? I znowu śmiech i wachlowanie się.

Trochę go to przypomnienie ubodło… Cóż sobie ta smarkata myśli, czy to ma znaczyć, że używam szablonowych zwrotów?

— A to widzę, pani już zaczęła i do teatru chodzić. Winszuję, winszuję, cóż, ogromne wrażenie musiał zrobić, nieprawdaż, tu uśmiechnął się z lekka lewym kątem ust.

Spłonęła cała. Oczy jakby na komendę, zaszły wilgocią. Wstyd i oburzenie malowało się w nich na przemiany. Zapanowała jednak wkrótce nad sobą. Teraz panna Jadwiga słuchała już jawnie i zagryzła wargi na znak, iż rozumie całą doniosłość ciosu, wymierzonego jej przyjaciółce. Gotowa jednak byłaby dać słowo, że jej to nie sprawia żadnej przyjemności…

Jakkolwiekbądź czuła, że teraz stosowna nadeszła chwila do przyjęcia udziału w rozmowie.

— Wyobrażam sobie, że panu nieszczególnie muszą się podobać nasze teatry, po tem co pan widział w Bayreucie. Ach, doprawdy, ilekroć czytałam owe korespondencye o Parsiwalu lub Nibelungach, mówiłam matce, że my to nie Europa. Ale doprawdy — zmieniła ton na pełen przymilania się, — ludzie podziwiali, jak pan mógł połączyć w sobie taką suchą naukę, jak matematyka lub kosmografja z takiem rozumieniem Wagnera. O, ja się mogę poszczycić tem, że gram na fortepianie prawie całego… Gdyby pan nie drożył się tak sobą, a zechciał nas kiedy odwiedzić, pokazałabym mu, jaki bogaty mam repertuar. Ale Michałowski jest wściekły na mnie. On wiecznie za swoim Chopin'em… a pan lubi Chopin'a.

— Mniej niż lat temu dziesięć.

— To zupełnie tak samo jak ja.

Bank ziemski.

W drugim swoim numerze umieścił „Przegląd Poznański“ pod powyższym tytułem artykuł, którego nie możemy pominąć bez kilku słów odpowiedzi. Jeżeli bowiem w pierwszym numerze pisma nie mógł być rozwiniętym program jego tak jasno i wyczerpująco, aby publiczność mogła sobie wyrobić sąd o tendencyach i zasadach, któremi redakcya kierować się zamierza, to w wymienionym artykule już prześwieca tkanka misternie osnutéj polityki społecznéj, dająca pole do poważnego rozpatrzenia rzeczy i dyskusyi.

Z koleżeńską przychylnością powitaliśmy urodziny nowego czasopisma, które opierając się na zgodnych z nami podstawach narodowéj polityki, oświetlać postanowiło pracę społeczną z nowych punktów widzenia stosownie do zmienionych warunków naszego bytu i świeżych prądów ducha czasu. Lecz byłoby rzeczą pożałowania godną, gdyby ten słuszny w zasadzie kierunek „Przeglądu Pozn.“ nie tylko zrywał dziejowy naszego rozwoju wątek, lecz i wrogo się zwracał przeciw zabytkom naszéj przeszłości, na któréj opieramy byt narodowy.

„Przegląd Pozn.“ biorąc gorąco do serca sprawę Banku ziemskiego i życząc, aby nowa emisya akcyi przyszła do skutku, z goryczą karci obojętność i pasywne zachowanie się zamożniejszego obywatelstwa wobec obowiązku (podyktowanego zresztą zdrowym rozsądkiem) poparcia moralnego i materyalnego téj instytucyi, która jest chlubą naszą i w dzisiejszych warunkach ma niezwykłe szanse powodzenia — jeżeli jéj będzie daną możność powiększenia kapitału zakładowego. W téj obojętności pozornéj widzi autor artykułu o Banku ziemskim dekadencyą szlachetczyzny i jéj śmierć fatalistyczną, widzi przerażające zjawisko trupa w rozkładzie, do którego nie warto się odzywać, — a natomiast radzi Bankowi zapomnieć o swojem szlacheckiem pochodzeniu i zwrócić się do młodych, potężnie rosnących sił naszego włościaństwa i przemysłu narodowego.

Téj radzie przyklasnęlibyśmy z całego serca, gdyby zamiast brzmiących powabnie słów, autor wzmiankowanego artykułu dał nam czyn prowadzący do celu i złożył dowody, że zebranie potrzebnego kapitału na nową emisyą Banku ziemskiego jest możebnem w sferach włościańskich i przemysłowych, które ani nie są tak bogate, jak „Przegląd Pozn.“ sądzi, ani obowiązku obywatelskiéj ofiarności nie odczuwają tak głęboko, jak inteligencya, ani w końcu nie rozumieją akcyi społeczno-finansowéj po za najciaśniejszym obrębem osobistego interesu i bezpośredniéj korzyści.

Aby trzeźwo osądzić stosunki materyalne tych właśnie sfer, od których Bank ziemski ma się spodziewać pomocy, dość wziąść do ręki wykazy biura statystycznego z r. 1892 dotyczące kas oszczędności. Przekonamy się tam, że udział w oszczędnościach najniższy z całego państwa ma właśnie W. Ks. Poznańskie; wynosi on stosunkowo na sto mieszkańców 6,29 w książeczkach oszczędności; następują prowincye pruskie z udziałem 7,15; potem idą Pomerania, Szlązk, Brandenburgia, Hanower itd. z udziałami od 13,52 do 27,74 na 100 głów; aż w końcu dochodzą Saksonia i Szlezwig do stosunku 34,50 na 100. Podobnie niekorzystne dla nas rezultaty okażą się, gdy porównamy depozyty w Spółkach niemieckich z zasobami naszych Spółek. Nie ma więc wątpliwości, że bardzo jeszcze niestety ubożuchny jest nasz przemysł drobny i nasze włościaństwo, a „Przegląd Pozn.“ bawi się oczywiście w mytologie, gdy na tych podstawach marzy o wielkiéj akcyi finansowéj dla Banku ziemskiego. Oby był poprzestał na pięknych parabolach o Kronosie i Zeusie!

Lecz ten zapał i szlachetna wiara młodego czasopisma w nowe siły nie są szkodliwe sprawie narodowéj; a przeto i nie w ten punkt godzić, jak raczéj zaznaczyć chcemy odmienne nasze stanowisko w zapatrywaniach na pozycyą społeczną obywatelstwa wiejskiego, które zaczepił „Przegl. Pozn.“

Nie przeczymy, że szeregi i zasoby szlacheckie po podziale Polski najokropniéj zdziesiątkowane zostały; nie wątpimy także, że punkt ciężkości naszego bytu narodowego przenosi się zwolna do innych warstw społecznych. Ale przyznać nie możemy, że w naszym procesie dziejowym jest tego rodzaju fatalizm, któryby społeczne zabytki przeszłości skazywał na taki nierozum polityczny, iżby były zmuszone coraz daléj grzeszyć, błąd za błędem popełniać, przez to przyspieszać swój rozkład i same się pożerać. Niesłusznym też jest zarzut, że fuzyjka, ekwipaże, gierka i kolacyjki przeszkadzają naszéj szlachcie w spełnianiu obowiązków narodowych, a hazardnik ma być silniejszą dźwignią w stanowisku jéj społecznym, niż święty ogień miłości ojczyzny. Nie godzi się, pojedyńcze — a na szczęście rzadkie — u nas wybryki w tym kierunku składać na karb całéj warstwy społecznéj! Nie godzi się, podchwytywać każdą okazyą, aby wszystkie nasze wady i niedomagania, a nawet nieszczęścia narodowe wytykać i przypisywać jednemu odłamowi narodu! Nie godzi się wreszcie używać przesadnych kolorów w malowaniu rzeczywistych chociażby win jednéj warstwy, aby nie podniecać w innych warstwach wrogiego usposobienia i zgubnego antagonizmu!

Zbytecznem byłoby przypominanie, że szlachcie zawdzięczać należy wypielęgnowanie ducha miłości ojczyzny, na którym stoi dzisiaj byt i przyszłość narodu — owéj idei narodowéj, która jest naszą jedyną opoką i jądrem budzącego się życia ludowego. Bez odwoływania się do téj niespożytéj zasługi, bezstronność zmusza do uznania, że i dziś wobec nieuniknionego kataklizmu społecznego niedobitki szlacheckie godnie dźwigają poszarpane sztardary — nie jako sromotni uciekinierzy, lecz jako szermierze zwyciężeni, którzy ze swojéj „glorii“ nic nie uronili. Jeżeli z pociechą widzimy coraz częściéj, że i praca i inteligencya wynosi synów ludu na wyżyny wybrańców narodu, to i w synach szlacheckich objawia się to samo szczytne powołanie służenia krajowi przez pracę i inteligencyą. A zaiste, łatwiejszem jest życie temu, kto w pracy widzi łódź swoją płynącą z błotnisk ciemnoty do portu cywilizacyi, niż temu, dla którego praca jest tylko deską ratunku.

Nie narzucamy się z obroną stanu szlacheckiego, który jako klasa uprzywilejowana należy do przeszłości, a jako szermierz dla idei narodowéj stoi tak wysoko, iż żadnéj obrony nie potrzebuje; lecz mamy za złe „Przeglądowi Poznańskiemu“, że miłość do ludu nie wstrzymała go od kłucia i wyszydzania tych żywiołów, którym lud nasz pierwsze tchnienie ducha narodowego i wypływającego ztąd rozwoju społecznego zawdzięcza. Nie rozdwajać i przeciwstawiać lecz kojarzyć i w jeden prąd kierować należy uzupełniające się żywioły społeczne, aby ziściły się słowa wieszcza: „Z polską szlachtą, polski lud“.

Sam jeden fakt, że wyższe sfery nie wzięły dotąd pożądanego udziału w akcyach Banku ziemskiego, nie uprawnia jeszcze nikogo, aby rzucać anatema na całą szlachtę. Za wcześnie „Przegląd Pozn.“ łamie szpadę nad ciałem żywego jeszcze bojownika! Lecz jeżeli to ma być wyzwaniem na rękę, w imieniu wyzwanego ochoczo podejmujemy rękawicę szlachetnéj emulacyi w zabiegach około dobra kraju. Jeżeli prawda, że Bank ziemski jest dziecięciem iście szlacheckim, a przez fatalizm dziejowy równocześnie wyobrażeniem i narzędziem odradzającego się z ludowych pokładów społeczeństwa, to zaiste nie może być odpowiedniejszego pola do chwalebnego pojedynku o pierwszeństwo w służbie krajowéj. Niechaj „młoda Polska“ dobędzie z pochwy lśniącéj pierwszym połyskiem złotego miecza, aby nim zabrzęknąć w ofierze dla instytucyi będącéj chlubą narodu, a może być przekonaną o szlachcie polskiéj, że

„Jak weteran w służbę powołany,
Gdy wnuki stary jego miecz ciągną ze ściany:
Dziad śmieje się, choć miecza dawno nie miał w dłoni,
Lecz uczuł, że dłoń jeszcze nie zawiedzie broni“.

Takim mężem był ś. p. dr. Tadeusz Tomaszkiewicz. Have, pia anima!

Przybyli do Poznania.

11 kwietnia.

LUZIŃSKIEGO HOTEL FRANCUZKI. Dr. Kruszyński z Krakowa. Średnicki z Wągrówca. Hellmann z Würzburga. Scholtz z Berlina. Schwinke z Wągrówca. Grudzielski z Buku. Pani Walther z Bydgoszczy. Pani Schlesinger z Trachenberg.

KAMIEŃSKIEGO HOTEL VICTORIA. (Telefon nr. 84.) Wize z córką z Jeżewa. Pani dr. Langner z Gostynia. Pani Winnicka z córką z Inowrocławia. Stark z Mogilna. Niedbalski z żoną z Łabiszyna. Radzicki z Warszawy. Kleber z Królestwa Polskiego.

ADAMCZEWSKIEGO HOTEL BERLINSKI. Adamski z Królestwa Polskiego. Ader i Berke z Kalisza. Schmidt z Berlina. Hauer z Hamburga. Hertel i Daluge z Wrocławia. Backer z Magdeburga.

Zapiski meteorologiczne.

Spostrzeżenia meteorologiczne w Poznaniu

w kwietniu.

Data i godz.	Barometr.	Wiatr.	Stan powietrza.	Temp. w spn. Cels.
10. po połud. 2	761,9	W. ożyw.	pogod.	+ 14,0
10. wiecz. 9	761,7	W. lekki	pogod.	+ 9,6
11. rano 7	761,8	W. średni	zachm.	+ 5,0

Dnia 10 kwietnia maksimum ciepła + 14,3 Cels.
Dnia 10 kwietnia minimum ciepła + 2,2 Cels.

Stan wody w Warcie.

Poznań, dnia 10 kwietnia rano 1,80 metr.
„ „ 10 „ w poł. 1.28 „
„ „ 11 „ rano 1.24 „

Dnia 10 kwietnia, o godzinie 8 rano.

Stacye.	Barometr.	Wiatr.	Stan powietrza.	Term Cels.
Bellmullet	753	Płd.Płd.W. 1	zachmurz.	12
Aberdeen	762	Płd. 5	zachmurz.	10
Chrystiansund	769	W.Płd.W. 1	zachmurz.	10
Kopenhaga	769	Płd.Płd.Z. 5	pochmurno	7
Sztokholm	770	W. 1	bez chmur	5
Haparanda	770	W. 2	zachmurz.	1
Petersburg	763	Płn.Z. 1	pochmurno	1
Moskwa	766	Płd. 3	pochmurno	2
Kork, Queenst	756	Płd. 1	deszcz	11
Cherbourg	763	Płd.W. 4	pogodnie	13
Helder	766	Płd. 1	bez chmur	9
Sylt	766	Płd.W. 3	zachmurz.	8
Hamburg	767	W.Płd.W. 1	bez chmur	10
Swinemünde[1])	768	Płd.Płd.W. 4	bez chmur	7
Neufahrwasser	769	Płd.Płd.W. 4	pochmurno	5
Kłajpeda	769	Płn.Z. 4	mgła	2
Paryż	764	Płn. 3	bez chmur	10
Monaster	764	Płn.W. 3	pochmurno	10
Karlsruhe	765	Płn.W. 2	bez chmur	10
Wiesbaden	765	cisza	bez chmur	9
Monachium	766	Płn.W. 2	bez chmur	7
Kamienica[2])	767	Płd.Płd.W. 2	bez chmur	11
Berlin [3])	768	W.Płd.W. 6	bez chmur	8
Wiedeń	766	Płn. 6	bez chmur	10
Wrocław	768	W. 2	bez chmur	6
Ile d'Aix	760	W.Płd.W 3	bez chmur	11
Nizza	763	W. 1	pogodnie	15
Tryest	764	W.Płn.W. 3	bez chmur	17

Objaśnienia: Płn. = północ. Płd. = południe W. = wschód. Z. = zachód.

Skala siły wiatru: 1 = lekki powiew, 2 = mały, 3 = słaby, 4 = umiarkowany, 5 = orzeźwiający, 6 = silny, 7 = mroźny, 8 = burzliwy, 9 = burza, 10 = silna burza, 11 = gwałtowna burza, 12 = orkan.

Kursa telegraficzne.

SZCZECIN, 11 kwietnia 1894.

przebieg spokojny. W departamencie Jura przewodniczący wniósł projekt adresu do gabinetu dzisiejszego, który jednomyślnie, zgodnemi głosami zarówno większości jak zachowawczéj mniejszości został przyjęty. W adresie tym rada jeneralna wyraża swoje sympatye dla rządu i składa mu życzenia z powodu energii i patryotyzmu, jakie rozwinął w obronie Francyi i instytucyi republikańskich przeciw zbrodniom anarchistycznym, „dla których największa pobłażliwość objaśnienia ani uniewinienia znaleść nie może.“ Następnie adres zaznacza, że sekta, nie mająca innego celu oprócz mordu i grabieży, a domagająca się dla siebie poszanowania swobody wypowiadania przekonań, w rzeczywistości wystąpiła z czynną propagandą, mającą na celu przygotowanie najhaniebniejszych bezeceństw. „Czas był wielki — kończy adres — żeby parlament przedsięwziął energiczne środki obronne i będzie to zasługą rządu, że wziął inicyatywę w zaproponowaniu tych środków i okazał odwagę w ich przeprowadzeniu.“

W izbie poselskiéj węgierskiéj rozpoczęła najskrajniejsza lewica, mimo uspokajających wezwań swych własnych organów, na które onegdaj zwróciliśmy uwagę, zaczepne kroki przeciw rządowi i marszałkowi izby, baronowi Banffy, z powodu, że nie wzięli udziału w pogrzebie Kossutha. Onegdajsze i wczorajsze posiedzenie były wyłącznie niemal poświęcone wycieczkom, zwłaszcza przeciw marszałkowi, któregoby chciano w ten sposób zmusić do złożenia laski. Przy głosowaniu przecież upadło onegdaj wotum niezaufania dla rządu 67 głosami. Na posiedzeniu wczorajszem uchwalono nasamprzód za zgodą rządu podziękowanie dla króla Humberta i narodu włoskiego za współczucie i uznanie zasług Kossutha. Prezes gabinetu, dr. Wekerle, oświadczył wśród hucznych oklasków całéj izby, że podobne wymiany sympatyi są pożądanem świadectwem, iż przyjaźń, łącząca obu monarchów, rozciąga

Z prac ankiety

w sprawie małéj własności ziemskiéj.

O ankietach w sprawach społecznych.

(Referat p. S. Chełkowskiego.)

I.

Kilka słów, które zamierzam powiedzieć o istocie, celach i zadaniu ankiety dla spraw społecznych, nie wyczerpią dostatecznie kwestyi. Na to trzebaby znać oryginały prac przynajmniéj niektórych ankiet, jakie się w różnych krajach odbywały i trzebaby mieć sposobność brania udziału w praktycznem przeprowadzeniu jakiéj ankiety. Referat mój będzie tylko krótkiem sprawozdaniem, z źródeł niemieckich, które miałem pod ręką. Prace zaś te były:

1) „Wie sind Enquêten zu organisiren“ przez C. Embden, sekretarza izby handlowéj w Hamburgu.

2) „Über Untersuchung von Thatsachen auf socialem Gebiete“ przez profesora Gustawa Cohna w Zurychu.

3) „Das Enquête-Wesen in Frankreich“ przez docenta Wilhelma Stieda z Strasburga.

Nie wspominając o innych źródłach pomocniczych. Były zaś te prace napisane w r. 1878, na żądanie niemieckiego Towarzystwa, dla polityki socyalnéj (Verein für Socialpolitik), w Berlinie.

Wyrażenie ankieta pochodzi, jak wiadomo, z języka francuskiego. W języku tym ma ono znaczenie prawne, administracyjne i ekonomiczno-społeczne.

Kiedy n. p. wydarza się wypadek morderstwa i sąd dla skonstatowania faktów i dla dowiedzenia się o bliższych szczegółach, przedsiębierze poszukiwania prawne — nazywa się to w „Code civil“ ankietą.

i okaże powodzenie, a wtedy na rozsądne przedsiębiorstwo damy tyle, ile będzie potrzeba.

Bank ziemski po pięcioletnich doświadczeniach istotnie ogłosił nową emisyę akcyj, aby podnieść kapitał zakładowy do 2 milionów marek i wykazał tak w swem ostatniem sprawozdaniu, jak i w odezwie subskrypcyjnej, rzeczywistą potrzebę i niewątpliwą korzyść zwiększenia funduszów. Wobec pomyślnych rezultatów dotychczasowej akcyi bankowej, wobec zmienionych na lepsze warunków parcelacyi przez prawodawstwo rentowe i wobec postępującej gwałtownie naprzód konieczności coraz szerszego likwidowania wielkiej własności ziemskiej — zdawało się, że tutejsze obywatelstwo powinno było nie tylko wywiązać się z przyjętego moralnie zobowiązania wobec Banku Ziemskiego, ale we własnym interesie dobyć ostatka sił, aby na ołtarzu dobra społecznego złożyć nawet resztki fortun, które same z rąk dziedzicznych wypadają. Nie wahamy się postawić bez ogródki tak daleko idącego postulatu, aby zapobiedz zwykłemu zastawianiu się biedą, nieurodzajem lub pomorem bydła. Na polu walki dobry żołnierz oddaje ostatnią kroplę krwi w obronie honoru i świętej sprawy, której jest reprezentantem.

Lecz o konieczności wysączenia już tej ostatniej kropli krwi mowy być nie może wobec szczupłości sumy, wymaganej dla nowej emisyi 800 akcyj. Mamy jeszcze magnatów, dla których lokacya 800 tysięcy marek w akcyach Banku ziemskiego nietylko nie byłaby uszczupleniem fortuny albo ofiarą, lecz owszem byłaby korzyścią w porównaniu z lokacyą kapitałów w obcych bankach lub papierach. Tem mniejszym potrzebowałby być wysiłek dla zasobów materyalnych zbiorowego obywatelstwa, gdyby ono tylko chciało zrozumieć własny interes i poczuwać się do obowiązku. Subskrypcya wymaga tylko wpłaty 250 Mk., a takich obywateli, którzyby sumkę tę w razie potrzeby mogli odłożyć z rocznego dochodu, mamy w samem WKs. poznańskiem, nie setki, ale jeszcze tysiące. Fuzyjka, ekwipaże, gierka lub kolacyjki w karnawale znacznie więcej pochłaniają corocznie, i zawsze sakwy na to starczają. Wszak widzieliśmy niedawno, że przedsiębiorstwo nafciarskie, w którym hazardzik ozwał się syrenim głosem, wydobyło z poważnych, a skromnych warstw tutejszego obywatelstwa jednym zamachem pół miliona marek, które w krótkim czasie poszły na marne.

Lecz na złożenie kapitałów dla Banku ziemskiego potrzeba innych dźwigni: dobrej woli i świętego ognia miłości ojczyzny, — dla tego słychać, że subskrypcya nie robi postępów!

Przy uczcie po walnem zebraniu Centralnego Towarzystwa rolniczego w Poznaniu, wznosząc toast, pan Dr. Witold Skarzyński mówił o dziejowem posłannictwie szlachty, sławił jej ducha obywatelskiego i zrozumienie potrzeb społecznych, podnosił jej gotowość do poświęceń dla idei i ofiarność krwi i mienia. Słuchano go więc z zajęciem i każdy mniej więcej czuł się apostołem, męczennikiem lub przynajmniej małym prorokiem. Dopiero gdy przyszła konkluzya, aby ci wybrańcy narodu okazali się godnymi epigonami wielkich ojców i czynem to stwierdzili, dając poparcie materyalne chlubnie rozpoczętemu dziełu polskiej kolonizacyi przez Bank ziemski, — wszczął się szmer, popłoch i zamieszanie, z którego wynikła powszechna dezercya. Z pokaźnego, liczniejszego niż w innych latach zebrania, zaledwie tuzin walecznych ratowało honor na placu walki, inni rycerze „zdrada krzyknęli, uciekli na Pragę“.

Zaiste nie należymy do tych, którzyby zamykali oczy na zasługi, jakie położyło obywatelstwo ziemskie około podtrzymania sztandaru narodowości naszej, ani do tych, którzyby naigrawać się chcieli ze śmiertelnego losu, jaki zagraża całej warstwie społecznej z wielką historyczną przeszłością. Jeżeli usłyszymy głosy oburzenia na powyższe „memento“, przyjmiemy je z powagą smutną, jak przystało, gdy „morituri te salutant“. Podnieśliśmy sprawę Banku ziemskiego, nie tyle w interesie instytucyi, która potęgą danych warunków gospodarczych i bez naszej pomocy pójdzie swoim szlakiem, jak raczej dla tego, że sprawa ta jest niezmiernie charakterystyczną w obrazie owego przełomu radykalnego, jakiemu ulegają w tej chwili stosunki ekonomiczno-społeczne w dzielnicy polskiej pod panowaniem niemieckiem. W tem oświetleniu warunki bytu i rozkładu wielkiej własności ziemskiej przedstawią się reszcie Polski prawdziwiej i dokładniej, niż w szerokim zakroju ankiet i studyów statystycznych.

Niesłychana jest logika dziejowa w owej czarnej nici fatalizmu, która naszą szlachetczyznę wiedzie nielitościwie do upadku. A może w żadnych innych stosunkach fatalizm ów nie występuje tak wyraźnie, jak z okazyi Banku ziemskiego. Ten sam obywatel, który przez założenie banku chciał ratować godność narodową, przefrymarcza ziemię kolonizacyi niemieckiej; ten sam obywatel, który wygłaszał teoryę o wielkich właścicielach ziemskich, jako jedynych świecznikach i filarach ustroju narodowego, stwarza instytucyę, która światło narodowe i zdrowie ekonomiczne podnieść może tylko przez rozćwiartowanie wielkiej własności: ten sam obywatel, który się szczycił pomysłem założenia Banku ziemskiego, póki tenże był tylko frazesem i nie wiedział co czynić, odmawia mu dalszego poparcia i wzdryga ramionami, gdy bank ustala sobie warunki bytu i powodzenia; ten sam obywatel, który chłopa potrzebuje, jako robotnika, i pracuje żywem słowem i pismem nad jego uobywateleniem, woli wieś sprzedać niemcowi, niż podjąć się trudu parcelacyi z pomocą Banku ziemskiego. Mimowoli przychodzi na pamięć głęboki myt grecki o starym bogu Kronosie, który przeczuwając, że jego panowanie chyli się ku upadkowi, a niebezpieczeństwo grozi tronowi od jednego z dzieci jego, wszystkie je z kolei pożerał, aż z rozpękniętej mu wytrysnął czaszki następca, Zeus, władca bogów i ludzi.

Bank ziemski jest nawskroś tworem szlacheckim i dla tego chyba przez „pietas“ odzywa się do rodziciela swego, aby poczuł się do ojcowskiego obowiązku łożenia na dalsze jego wykształcenie. Lecz logika faktów sama zmusi bank, pożegnać się z roztrzaskaną głową Kronosa i uznać panowanie młodego, a potężnego Zeusa — włościanina i przemysłowca. Jego spółki zarobkowe mają same przeszło tuzin milionów w depozytach i funduszach rezerwowych; jedna kasa oszczędności miasta Poznania ma przeszło 5 milionów składek; a nie mamy pod ręką w tej chwili wykazów, ile milionów zaoszczędzonych spoczywa w powiatowych kasach i innych tym podobnych instytucyach naszej dzielnicy. Tylko pamiętamy, że wertując kiedyś te cyfry, szeptaliśmy bezwiednie słowa pociechy: Błogosławieni cisi, albowiem oni posiędą ziemię.

Nie z konieczności przeto wystosował Bank ziemski odezwę subskrypcyjną do obywatelstwa wiejskiego, lecz aby spełnić posłannictwo swoje i w tej nieubłaganej walce o posiadanie ziemi dać możność zwyciężonym, może ostatnią, pozyskania laurów Leonidasowych z napisem „Gloria victis.“ *S.*

POLITYKA.

Co dalej?

Ustąpienie pana Kościelskiego z ław parlamentu wprawiło w ruch wszystkie pióra publicystów polskich i obcych, a wśród powodzi

---

— Chociaż znajduję, że jego sonaty są ładniejsze od Beethovenowskich.

— To pan zna nawet jego sonaty. Nie, doprawdy, pan nie stworzony na matematyka.

— Z pewnym źle tłumionym tryumfem w głosie, wpadła na to panna Runicz.

— Co do mnie, to najwyraźniej gdzieś czytałam, że nie jest wcale rzadkością, ale owszem nawet częstem dosyć połączeniem: muzyka ze zdolnością do matematyki.

— Ma pani najzupełniejszą racyę, odparł nadzwyczaj mile i pobłażliwie pan Walery.

Wobec takiego powodzenia sąsiadki, panna Jadwiga, zaczęła lustrować swój piękny biust i wprawiać go w lekkie falowanie. Zwróciło to wreszcie uwagę Walerego, i tym razem nie pozostał całkiem obojętnym. Ostatecznie musiał przyznać w duchu, że ciało to obfite i piękne, teraz zwłaszcza zaróżowione na ramionach i szyi od ciepła, które wciąż wzrastało w salonie. Po wiolinowej strunie uroku dziewiczego, zadrgała w nim struna basowa erotyzmu. Był kontent, że doznaje wyraźnej przyjemnej sensacyi, i że ma pole do zabiegów o pannę dobrze już dojrzałą, ale wiele obiecującą. Włosy jej czarne, trochę może za czarne i jak się zdawało za twarde, były jednak bujne, brew czarna, może trochę za mocna, była jednak znamieniem żywotności wielkiej.

* * *

Z miłych refleksyj wyrwało go nagle gwałtowne uderzenie w krzesło. Obejrzał się przelękniony. Był to jeden z lokajów, którzy w tej chwili ustawiali i rozsuwali, sztukowali stoły dla reszty towarzystwa. Dalszej rozmowie trzeba było dać pokój. Wszczął się zgiełk i krzątanina. Z budoaru pani Łozickiej goście wychodzili kolejno i z pewną niecierpliwością spacerowali dokoła.

Pan Walery witał jednych, przedstawiał się drugim, zamieniał przelotne słówko z innym.

— A co za gość!

— Patrzcie państwo i nasz profesor się stawił, brawo! wybornie! Oho, wint gotowy...

— Leniuch z pana! podobno Cesia posyłała po niego, ale służąca nie mogła się dodzwonić.

Przy tej warto było zatrzymać się — i tak też zrobił, nie zważając, że stanęli na drodze innym; kiwnął jeszcze tylko, na potwierdzenie wysokiemu jak wieża redaktorowi, który szepnął mu do ucha:

— Na miłość Boga, nie bałamuć, tylko wstaw się za nami u twej siostry, bo nam już kiszki marsza grają.....

Walery w duchu drwił sobie z prośby. Gdyby szło o niego, zgodziłby się chętnie pościć do jutra, byleby módz trochę porozmawiać z uroczą panią Murawską. Wiedział, że nie rychło nadarzy się taka sposobność. Za chwilę otoczy ją rój mężczyzn i kobiet, które będą podpatrywały zazdrośnie każdy jej ruch i podsłuchiwały każdy wyraz. Nie była między niemi najmłodszą, ale że najpowabniejszą, to pewna. Tylko apetyt towarzystwa, zaostrzony widokiem już gotowej uczty w jadalni, sprawił, że o niej na mgnienie oka zapomniano.

— Gdybym mógł przeczuwać, że i pani tu będzie, zapewniam, że stawiłbym się wcześniej, niż inni.

Pokiwała z niedowierzaniem śliczną głową.

— Pochlebca z pana i w dodatku obłudny, bo gdybyś pan pragnął istotnie widzieć mię, mogłeś mi złożyć wizytę po powrocie z zagranicy. A jeśli wziąć pod uwagę, że pan należy do ludzi z tak zwanem dobrem wychowaniem, to wypadnie, żeś postąpił wprost niegrzecznie.

— O pani, pod takie wyrzuty pokornie schylam plecy... Ale, ponieważ mógłbym niejedno przytoczyć na swoje usprawiedliwienie, więc pozwolę sobie zaproponować pani moje sąsiedztwo przy stole. Zgoda?

Z wdziękiem i uśmiechem podała mu ramię, śliczne, cudownie zarysowane, niezbyt białe, raczej śniade.

Zdawało się Waleremu, że go owionął ze wszystkich stron czar. Takiej kobiety nie znał jeszcze. Była to glina ludzka w najlepszym, najszlachetniejszym gatunku.

Sam nie wiedział, kiedy usiadł z nią, dosyć, że mógł pić całą samowiedzą rozkosz. Nieraz od paru miesięcy marzył o takiem spotkaniu, więc teraz czuł się mile podnieconym. Wrażenie przyjemności silnej, dobitnej rozcho-

drukarskiego czernidła, które w sprawie tej wylano, pojawiły się dwa poważne znaki zapytania: 1) Czy poseł inowrocławski postanowił niezmiennie wycofać nazwisko swoje z listy kandydatów? 2) O ile ustąpienie p. Kościelskiego oddziała na stanowiska koła polskiego?

Ostrożni sceptycy, u których pojęcie ludzkiej szczerości, a mianowicie szczerości dyplomaty, budzi stale uczucie niedowierzania, uważają ustąpienie arcykapłana nowego kursu za doraźny manewr polityczny, — za symulacyjny odwrót, który z jednej strony salwuje p. Kościelskiego wobec pewnych dyskretnych zobowiązań, a z drugiej przy powtórnem zwycięztwie w nowej kampanii opromieni go aureolą zaufania wyborców, podnosząc tem samem znaczenie polityki jego w obrębie i po za obrębem koła. Trudno nam rozstrzygnąć o ile dyplomata polski zaangażował się w akcyi zakulisowej wobec cesarza i ministrów, trudno zgłębić sekretne przyczyny, które spowodować mogły abdykacyę, sądzimy jednak ze względu na charakter ubocznej działalności p. Kościelskiego, oraz pewne domyślniki kół miarodawczych, że motywy takie w rzeczy samej istniały. Lecz gdyby nawet przypuszczenie nasze nie było złudzeniem, to sam fakt określony powyżej nie rozstrzygnie jeszcze pytania, czy złożenie mandatu jest tylko symulacyą, czy też niezłomnem postanowieniem. Dyplomacya nieraz tak krętymi stąpa manowcami i tak zręcznie maskuje obliczenia swoje, że kombinacye publicystyczne łatwo błąkać się mogą w labiryncie ewentualności. To też nie przesądzając stanowczo istotnej rachuby p. Kościelskiego i nie wykluczając możliwej z naszej strony pomyłki, oświadczamy się za prawdopodobieństwem abdykacyi istotnej. Nadto bowiem kategoryczne były oświadczenia posła inowrocławskiego w obec niemieckich i polskich interwiewerów, nadto stanowcze zapewnienia, że „pod żadnym warunkiem“ mandatu nie przyjmie, aby uwierzyć w możliwość natychmiastowego powrotu. Pan Kościelski w interwiewach swoich i w inowrocławskiem przemówieniu nie pozostawił sobie żadnej furtki dyplomatycznej, któraby uprawdopodobniła zamiary powtórnego wśliznięcia się do listy kandydatów, i nie okazał nawet owej przysłowiowej miękkości, szeptającej cicho: „Proście a wrócę!“ Wobec tego trudno nam uwierzyć przypuszczeniom kilku dzienników, że rozgrywa się tu pospolita komedya, a gdyby nawet zdecydowana fizyonomia inowrocławskiego posła była maską tylko, gdyby przedstawienia zelotów nowego kursu polityki nazbyt zachwiały „niezłomne“ postanowienie p. Kościelskiego, to opozycyjny charakter inowrocławskiego zebrania jest znamienną przestrogą, że kandydatura „bohatera dnia“ na powodzenie liczyć nie może. Zresztą kandydatura ta rozkiełznałaby na nowo owe namiętności polityczne, które przed kilku zaledwie miesiącami Poznań i prowincyę rozdzieliły na dwa wrogie obozy, bo tajnem nie jest nikomu, że usunięcie się p. Kościelskiego stało się „nom de guerre“ ludowego stronnictwa. Nazwisko pana Kościelskiego działa jak czerwona chustka w hiszpańskiej arenie, a ztąd dla wyrównania dysonansów, dla zagojenia ran świeżych, dla zgodnej, solidarnej i energicznej akcyi wyborczej, kandydatura dotychczasowa na razie przynajmniej pojawić się nie powinna. Nie przemawiamy w imię bezwzględnej opozycyi do kierunku, którego ojcem duchowym jest poseł Kościelski, przemawiamy raczej w imię harmonii społecznej, której powtórnie nie pragniemy burzyć. Jeżeli „potrzeba spoczynku„ jest istotnie konwencyonalną jedynie wymówką, to wzgląd powyższy będzie niezawodnie rozstrzygającym momentem dla posła inowrocławskiego, który przecież nie zechce przyczynić się do rozluźnienia jedności narodowej.

„O ile ustąpienie p. Kościelskiego oddziała na stanowisko koła polskiego“ — oto pytanie drugie, które prasa po świecie rozniosła, a na które sam „cheval de bataille“ polityki ugodowej odpowiedział wyraźnie, że reprezentacya nasza w parlamencie dotychczasowem popłynie korytem. Nie przesądzamy stanowczo przyszłości, ale według informacyj i obliczeń naszych ulegnie przedewszystkiem forma parlamentaryzmu polskiego niewątpliwej zmianie. Fanatyzm pana Kościelskiego wycisnął na działalności jego piętno radykalnego lojalizmu, posuniętego aż do zatarcia różnicy między „nami a wami“. Była w przemówieniach posła inowrocławskiego nieraz taka pokorna dewocya dla rządu, taka lękliwa ostrożność w manifestowaniu odrębności narodowej, takie rozpłynięcie Polaka w pruskim obywatelu, że koloryt tego zelotyzmu oddziaływać musiał demoralizująco na szerokie masy. A koroną wszystkiego był ów list otwarty do hr. Ballestrema.... list, który nawet w najlojalniejszych organach wywołał szept nieśmiały: Ne quid nimis! i spowodował Koło do skarcenia autora niefortunnych wynurzeń. Żaden z posłów polskich nie zatracił do tego stopnia poczucia miary jak p. Kościelski, a jeżeli którykolwiek posunął się również zadalеko w rozmodleniu swojem przed ołtarzem rządu, to niewątpliwie wpływy wodza i ojca nowego kursu były ton nadającą potęgą. Z ustąpieniem posła Kościelskiego zbledną niezawodnie jaskrawe barwy polityki ugodowej, a już to samo byłoby poważnym rezultatem głośnej abdykacyi. Sądzimy jednak, że równocześnie z powyższą zmianą pojawi się inna, nie tyle formalnej ile zasadniczej natury.

„Czas“ krakowski starał się w najświeższym czasie usprawiedliwić politykę spekulacyi na osobiste sympatye cesarza, a tem samem zbudować wał ochronny dla dyplomacyi p. Kościelskiego. Namiętnej tej apologii odmówić nie można zręczności pewnej, ale po za osłoną dyalektyki jest próżnia, z której wyziera przestroga: Facta loquuntur. Koło polskie zahypnotyzowane obietnicami cesarskiego faworyta, skierowało nabożeństwo swoje wyłącznie do stóp niemieckiego monarchy, a każdy uśmiech jego, każdy uścisk dłoni, każde życzenie zdawały się świtem lepszego jutra. Rzeczone motywy i realniejsze rachuby zstąpiły na plan daleki, a cała polityka obracała się w zaklętem kole względów tronowych. Dziś rozpoczyna się przebudzenie. Posłowie nasi przekonali się, że łaska cesarska opromieniła wprawdzie blaskiem swoim jednostki narodu, ale systemu rządowego zmienić nie pragnęła, lub nie mogła, a ztąd kiełkuje już pewna reakcya, która politykę koła zamierza na realniejszych budować podstawach i praktycznego oportunizmu nie identyfikuje z poezyą osobistych względów. Sugestya pana Kościelskiego traci wszechmoc swoją wraz z ustąpieniem jego, a Koło przeciera oczy i widzi coraz jaśniej, że nie zbaczając z ugodowych torów, zboczyć należy z torów Kościelskiego. *W.*

Przegląd prasy słowiańskiej. *)

To, co dzisiaj znajdujemy w artykułach dzienników młodoczeskich, zasługuje w pełnej mierze na naszą uwagę.

Fakty, jakie zaszły w ostatnim czasie, zmusiły Młodoczechów do przedsięwzięcia pewnych zmian w programie. W numerze 79 z dnia 1 lutego rb. umieściły „Narodni Listy“ pod nagłówkiem „Nove zjevy (objawy), a stare myszlenki (idee)“ na miejscu naczelnem artykuł, sygnalizowany przez pisma niemieckie, który ma stać się punctum saliens przyszłej polityki czeskiej.

„Narodni Listy“, organ miarodawczy stronnictwa, piszą dosłownie tak:

Żadna z dotychczasowych reprezentantacyj słowiańskich nie była tem, czem są przywódzcy narodu wistotnem znaczeniu wyrazu, dążący drogą prostą do urzeczywistnienia ideałów narodowych. Słowianie zachodni, zwłaszcza my Czesi i Polacy, powinniśmy szukać spójni i jedności, o potrzebie których uczy nas historya. Przeszłość uczy nas i tego, że dla braku zrozumie-

*) Przeglądy takie, informacyjnej natury, stale w piśmie naszem zamieszczać będziemy. (Przyp. Red.)

---

działo się po całym jego organizmie ożywczym strumieniem. Właśnie czegoś podobnego doznawał, w swoim półśnie, gdy mu łaskotały ucho dźwięki muzyki. Tylko, że teraz dalekim był od gnuśności, owszem, miał odwagę i ochotę prowadzenia prędkiej, choćby gwałtownej rozmowy. Zbudziła się w nim energia, a poczucie pewnej wyższości uczyniło go niewrażliwym na całe otoczenie.

Dokoła kipiała wrzawa kolacyjna, brzęki, śmiechy, dochodziły z drugiego pokoju toasty... On był na wszystko głuchy.

Usługiwał swej damie z galanteryą młodzika, wciąż prawie ku niej zwrócony, co mu zresztą nie przeszkadzało pamiętać i o sobie. Odezwał się w nim zdrowy, normalny człowiek. Był poprostu w swoim żywiole i wprawił w działanie wszystkie swoje zmysły.

Pani Murawska zachowywała się jak kobieta, zdawna nawykła do troskliwości męzkiej. Jadła swobodnie ale z gracyą, od czasu do czasu uśmiechając się do niego wzrokiem dziecka, szczerym, niewinnym, zadowolonym.

On mimowoli spojrzał na prawo — i wnet zrozumiał przyczynę nagłego swego zwrotu: był magnetyzowany oczami panny Jadwigi, która, siedząc między dwoma młodymi ludźmi i usilnie przez nich bawiona, pragnęła snadź zaimponować mu swym sukcesem.

Przywołany do porządku, teraz dopiero zaczął rozglądać się po bliższych i dalszych sąsiadach. Twarze były już zarumienione, oczy błyszczały, różne braki rysów i cery ustąpiły. Tam do licha — pomyślał nagle — Runiczówna siedzi akurat naprzeciwko — i to przy kim? Przy Leszczyku? O w tego wpadnie na dobre!

Jan Leszczyk omal nie został zwycięzcą na ostatnim turnieju malarskim. Zdolny ale próżniak, miał twarz za ładną, ażeby mógł pracować. Smukły, zręczny, z bujną czarną czupryną, świeży, jak gdyby nigdy nie oddychał powietrzem wielkiego miasta, umiał się podobać kobietom. Była to widoczna pełnia niezużytych dotąd sił.

Walery nadsłuchiwał zlekka ich rozmowy. Leszczyk opowiadał o Monachium, trochę flegmatycznie i zacinając się, ale jasno, dosyć dowcipnie i naturalnie. Widocznem było, że język jego przeszedł już szkołę plastyki malarskiej i dosadnej wyrazistości. Niekiedy znów czerwienił się jak panienka, chociaż oczy uderzały sprytem.

— Miałeś się pan wytłomaczyć? zagadnęła tymczasem pani Murawska.

— W dwóch słowach. Poprostu nie wiedziałem, czy i gdzie można pani złożyć wizytę. Wiem, że pani mieszka z córeczką u rodziców, ale powiem otwarcie, żem nie chciał zacierać miłych wspomnień lata widzeniem się w poważnem patryarchalnem kole...

— Dziwak z pana.

— Nie, pani, tylko romantyk. Sam stary, boć przecie mam już prawo tak się nazwać, nieprawdaż? — cóż dziwnego, że unikam wrażeń starych?

— Czy to ma być spekulacya na komplement?

— O nie, pani, łudzę się, że jestem zanadto mężczyzną, ażeby łaknąć komplementów.

A potem, dotykając ustami kieliszka z winem czerwonem, dodał:

— Bynajmniej, w tym wypadku, zadowolniłbym się samem zaprzeczeniem.

— No, wobec tak wyraźnej prośby — ha, ha, ha! nie mogę go panu odmówić... A jednak prawić komplementy lubisz pan.

— Hm, jak komu... Ale zdaje mi się, że dotąd śmieszność tę popełniałem jedynie wobec pani. Śmieszność! Może i niepotrzebnie oczerniam się, bo czyż nie byłoby prędzej komicznem, gdybym udawał oponenta nieprzejednanego, tam, gdzie wszyscy jednomyślnie hołd pani składają.

Był zadowolony z tej odpowiedzi.

— A wie pani — ciągnął po małej przerwie, — że był czas i to długi, kiedy mię wprost drażnili ci wszyscy chwalcy i wielbiciele pani.

Długie jej, niepomierne długie ciemne rzęsy podniosły się i wielka czarna źrenica spojrzała z naiwnem, prostaczem zdziwieniem.

— Panią to dziwi? Ludzie, jak ja, szukają istot niezwykłych, a nie tych, czyje imiona są

nia potrzeb wspólnych oba narody upadły. Ciasne poglądy, wzgląd na własne dobro dawały polityce niemieckiej podostatkiem środków, aby nas zmuszać do wzajemnej konkurencyi, występowania przeciw sobie w chwili, gdy wszystkie okoliczności wołały oba narody ku wspólnej obronie...“

„...Obecna polityka Koła polskiego w Wiedniu nie powinna nas do Polaków zniechęcać, nie gódźmy się na nią, ale starajmy się o utrzymanie stosunków jak najbliższych z narodem polskim.“

W numerze wielkanocnym „Narodnich Listów“ rozpisuje się poseł Eim o programie stronnictwa młodoczeskiego w sposób następujący:

„Całe nasze społeczeństwo było zawsze za tem, aby walkę prowadzono na drodze legalnej. W obecnych stosunkach jest taka walka koniecznością. Czeski lud wie, że niepodległość Czech nie w jednem, ale w kilku stuleciach zniszczono, więc jej jedno pokolenie nie odzyszcze. Już dwie generacye przeszły, a obok wielkiej gorliwości i zapału nie zdołano położyć nawet fundamentów. Nie lekceważmy przeszkód i nie przeceniajmy sił własnych, pouczajmy naród o tem, co mu się należy, nie zapominajmy zwracać mu uwagi na trudności wchodzące nam w drogę i na potęgę nieprzyjaciela.

„Dziś trzeba nam uwagę skupić na cele wielkie. Wiemy, że niezgoda zawsze i wszędzie jest przyczyną nieszczęścia i bezwładności narodów. Niezgoda spowodowała upadek Czech. Dla niej to słusznie mógł Palacki o dziejach narodu czeskiego powiedzieć, że nie są epopeją — raczej tragedyą.

„Czyżbyśmy z przeszłości nie mieli tyle się nauczyć, aby dziś znowu podpaść pod klątwę niezgody? Czy nie wie o tem Czech każdy, że Czesi przez Czechów zostali zwyciężeni? Tak i dziś grozi nam większe niebezpieczeństwo od swoich, aniżeli od obcych.

„Nie żądamy tego, aby między nami była jedność mechaniczna. Nigdy też stronnictw nie uważaliśmy za nieszczęście dla narodu. Chcemy wolności przekonań politycznych, wolności ludu, niepodległości ojczyzny.

„Prowadzimy walkę z jednym nieprzyjacielem głównym. Ta walka powinna nas jako towarzyszów boju łączyć i skupiać, wyrównać, co pomiędzy nami było. Dziś nie pora nam się bawić w Kainy i Able. Siedzimy wszyscy na jednej łodzi. Łódź albo do przystani zawinie, albo się rozbije na morzu...“

Oba artykuły zdają się przemawiać za tem, że tak polityka wewnętrzna, jak i zewnętrzna pobratymców naszych wchodzi na tory inne. Do szukania dróg nowych zmuszają Młodoczechów poniekąd i stanowiska reszty prasy słowiańskiej.

Stronnictwo „młodosłowiańskie“, którego organ główny, wychodzący w Lublanie „Slovenski Narod“ najwierniej sekundował „Narodnim Listom“, opuszcza stanowisko opozycyi quand même i według zasady „bierz Michale, co Bóg daje“ notuje z jawnem zadowoleniem drobne ustępstwa, jakie od rządu Słoweńcy otrzymali.

W numerze 58 pisma, w artykule zatytułowanym: „Koalicyjski princip glede (względem, szol (szkół), pisze „Slov. Narod.“, że w zasadzie godzi się na stanowisko ministra Madejskiego, które nazywa dobrem. „Slovenski Narod“ przyznaje ministrowi w tem słuszność, że o szkołach winne decydować sejmy krajowe. „Niestety — tak pisze — porozumienie pomiędzy walczącemi ze sobą na polu szkolnictwa narodowościami trudnem będzie u nas do osiągnięcia. Niemcy i Włosi nie dopuszczą do wymierzenia sprawiedliwości językowi słowiańskiemu i to nie z obawy przed możliwością „posłoweńczenia dzieci włoskich lub niemieckich, ale dla tego, żeby się nie pozbywać środków wynaradawiania dzieci słoweńskich.“

„Slovenski Narod“ pisze dalej tak:

„Szkoły włoskie, lub niemieckie, do których uczęszcza młodzież słoweńska, nie starają się o to tylko, aby dzieci nauczyły się tych języków, ale za cel główny wytykają sobie wynarodowienie Słoweńców. Że tak jest w rzeczywistości, świadczą o tem stosunki w gimnazyum w Celji. Słoweńcy żądają klas równoległych dla młodzieży słoweńskiej, atoli Niemcy się sprzeciwiają, wiedząc, żeby to opóźniło germanizacyę.

„Oceniając rzecz według oświadczenia ministra, na razie nie możemy spodziewać się ustępstw w tych ziemiach słoweńskich, gdzie większość w sejmie mają Włosi i Niemcy. Tak więc pozostanie stan rzeczy ten sam w Tryeście, Styryi i Karyntyi. Natomiast pożądana zmiana nastąpi w Krainie, gdzie mamy większość.

„Dotąd w szkołach realnych lublańskich musiała młodzież słoweńska walczyć z trudnościami wykładu niemieckiego. Mimo tylu starań rząd na kursy równoległe nie chciał zezwolić. Po oświadczeniu ministra należy się spodziewać, że kursy te wkrótce będą otwarte.

„Obok sejmu kraińskiego w Lublanie, znajdujemy się w Gorycyi w tem korzystnem położeniu; więc i tam stosunki na lepsze się zmienią.“

Uwagi swe kończy „Slovenski Narod“, wyrażając nadzieję, że minister w czasie jaknajkrótszym to, co przyrzekł, wykona. Jeżeli się to stanie, wówczas „Slovenski Narod“ z radością przyzna, że minister jest — może beseda — mężem dotrzymującym słowa!

Na zakończenie dzisiejszego przeglądu prasy słowiańskiej przytaczamy, cośmy znaleźli w nader starannie redagowanem piśmie słowackiem „Narodnich Novinach“. W numerze 29 tegoż pisma znajdujemy pod nagłówkiem: „Snaha (wytrwałość) moc zmaha (dokona)“ taki „szkic sytuacyjny“ stosunków słowackich.

„Żyjemy na końcu stulecia materyalistycznego — piszą „Narodnie Noviny“ — i zdaje się, że powiew niezdrowy nie oszczędza i naszego społeczeństwa; jednych ubezwładnia, drugich usypia, a nikomu nie służy. Narodowa influenca grasuje między nami.

„Ale, chwała Bogu, Słowak ma twarde życie; choć jedni chorują wielu jest zdrowych, a ci zdrowi walczą za naród tak, jak ich ojcowie walczyli i pracowali.

„Słowacy od dawna pracują nad sobą. Dawniej zakładali gimnazya. Założyli nam „Maticę słowacką“, która Słowacyę nauką i wiedzą miała oświecać. Ale gimnazya i fundusze Maticy zabrał nam rząd liberalny.

„Kto bacznie śledzi dzieje naszego narodu musi przyznać, że Słowacy są ofiarnymi. W miejscu Maticy wystawiliśmy „Dom“, utworzyliśmy księgarski związek; zebrano 80 tysięcy zł. na nowe gimnazyum słowackie, które ma być wkrótce otworzonem. Obok tego różne stypendya, składki narodowe, wszystko to jest wymownym dowodem ofiarności słowackich „rodolubów“.

„Zniechęcają się u nas ludzie do składek na młodzież uczącą się. Prawda, że wiele „Sokołów“, wychowanych za wdowi grosz narodu, „zgawroniało“, ale takie wypadki nie powinny nas odstręczać. Toć bez inteligencyi żyć nie możemy...“

Tyle „Narodnie Nowiny“.

Słowakom brak jeszcze do ufundowania gimnazyum 20 tysięcy złotych, które z pewnością wkrótce zostaną zebrane. Gimnazyum będzie otwartem w Turczańskim św. Marcinie, gdzie jest główne ognisko życia narodowego Słowaków. Obok „Domu“, pięknego gmachu, mieszczącego teatr słowacki, czytelnię i sale dla zebrań publicznych, banku „Sporzitelni“, drukarni i innych instytucyj narodowych będzie wiec Turczański św. Marcin posiadać gimnazyum słowackie, o którem od lat kilkunastu Słowacy marzą. *K.*

---

na ustach wszystkich salonowych pawianów. Wolę choćby podziwiać tylko zdaleka piękność, którą sam wykryłem, niż posiadać bodaj zblizka tę, którą mi narzuciła opinia gamoniów.

— Więc mną się zachwycają gamonie, a toś się pan zasypał!...

— Nie cofam słowa, wobec faktu, iż sam się do ich armii musiałem zapisać... Zresztą, ja ich błogosławię, dalibóg! Bo oni panią ściągnęli na ziemię, między zwykłe śmiertelniczki, umieścili na tle swojego płaskiego bractwa wzajemnej adoracyi i dzięki temu...

— I dzięki temu? — przerwała zaciekawiona nie na żarty.

— Nie jestem jeszcze, — zaśmiał się zamkniętemi usty? — w pani zakochany.

Obejrzał się, czy go kto nie słyszy.

Na pani Murawskiej wyznanie to nie zrobiło wielkiego wrażenia. Twarz jej wyrażała spokój niezamącony, pełen słodyczy i dobroci, która widać, była stałym jej rysem. Słuchała uważnie, a Walery wpatrując się w nią, w jedwabistą cerę, przepyszne sploty włosów i apetyczną, kuszącą muszkę na lewym policzku, nabierał przeświadczenia, że trochę się z prawdą minął... Słyszał i czytał o zębach jak perły, ale o takich, jak jej, nie miał pojęcia. Nie pikantna — mówił sobie w duchu — nie zepsuta, nie okazała wzrostem ani sceniczna, ale jej główka prosi się o pędzel Greuz'a — wcielenie miłej, wytwornej i pełnej dobrego smaku pieszczotliwości. Istna Psyche w pełni rozwoju swoich wdzięków.

Psyche to była, nawiasem mówiąc, bardzo cienka w pasie, miała przepyszny biuścik i doskonale zaokrąglone, przez trzeci krzyżyk wykończone biodra i wypulchnione liczko.

Zaczynał wyrzucać sobie, że dał się tak długo powodować duchowi przeciwieństwa i nie szukał sposobności zbliżenia się do niej. Wtedy gdy cała młodzież inteligentna i tacy, jak on starzejący się kawalerowie, polowali na jej czarujący uśmieszek nizkimi ukłonami, on z pewną satysfakcyą obrzucał ją wzrokiem chłodnym, jak gdyby mówił:

— Nie myśl, że ja się łapię na takie salonowe boginie. Mnie ty nie zaimponujesz!

Było w tem dużo wstrętu do eleganckiego motłochu, ale i trochę instynktownej kokieteryi, stawał się bowiem więcej pożądanym. Lecz, chociaż teraz właśnie przekonywał się o zbawienności tej metody, gdyż Murawska najwidoczniej wyróżniała go, to jednak nie mógł sobie darować, że ta błoga świadomość przyszła tak późno. Właściwie bowiem, dopiero drugi raz prowadzili rozmowę poufniejszą.

Gdy przed pół rokiem spotkał się z nią na deptaku w Krynicy i został przedstawionym, dawna nieufność do zbyt głośnej i znanej marki pierzchła niemal i Krynica ze swymi galicyjskimi łykami, łysemi góranami i brudnemi pończochami starozakonnych nagle w oczach jego straciła część swej szpetności. Postanowił nie wyjeżdżać z niej tak prędko.

Atoli nazajutrz po powzięciu tej chlubnej decyzyi, pani Murawska z promienną twarzyczką jechała wózkiem góralskim do Muszyny. Na ten widok tak uroczo-żałosny obnażył głowę grzeczniej niż zwykle i otworzył z uczuciem osłupienia usta szerzej, niż to czynił zwykle w podobnych wypadkach.

Owego dnia poszedł na Michasiową i na wymiętym jej trawniku leżał cztery godziny, zły i gnuśny, plecami w stronę nieba na znak protestu i wzgardy dla złośliwego losu. Książka nawet nie otwarta, spoczywała tuż obok, a on patykiem grzebał w ziemi, nie przymierzając, jak pies, któremu się zdaje, że poczuł zapach myszy.

Od tego czasu zaszło zdarzenie, głośne na świat cały, które sprawiło, że Walery niemal zupełnie zmienił swój sąd o pani Murawskiej. Oto dowiedział się, że przyjęła ona posadę zarządzającej u handlarza obrazów i antyków. Okropnie się tem ucieszył i zacierał ręce na samą myśl, jak skandal ten zgorszyć musiał całą „inteligencyę“. W wyobraźni jego i teraz jeszcze, gdy sobie o tem przypomniał, majaczyły oburzone fizyonomie wszystkich znanych mu plotkarek i komisarek od cnoty.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

LITERATURA I SZTUKA.

Nietzsche i moralność.

Teorye Nietzschego, mało znane polskiej publiczności z dzieł samego filozofa-poety, doczekały się przecież w naszej publicystyce kilku opracowań, a od jakiegoś czasu ciągle są na porządku dziennym, wspominane nietylko w studyach specyalnych, ale i w korespondencyach, recenzyach, mniej lub więcej poważnych artykułach, ba nawet w gazeciarskich artykułach wstępnych.

Za wiele popularności, a za mało zrozumienia stało się powodem, że osądziliśmy i postawili pod pręgierz filozofa-poetę, zamiast postawić sobie pytanie, czy też nie dałoby się odkryć w dziełach jego jakieś źródło żywe, które nową myślą i żywym prądem uczucia wzbogaciłyby tak jałową częstokroć dziedzinę naszej domowej etyki?

Najcięższy cios zadał Nietzschemu p. Wł. M. Kozłowski*) zaliczający Nietzschego do dekadentów. Od czasu ukazania się jego broszurki do razów zadawanych Nietszchemu przybył jeden jeszcze argument, mianowicie, że jest to dekadent. Nie zwrócono wprawdzie uwagi, że Nietzsche znalazł się tu w niezłem towarzystwie, bo autor do dekadentów zaliczył również nietylko Bourgeta, ale Taine'a, Stendhala i w ogóle najlepsze umysły współczesnej Francyi, nie mówiąc już nic o zagranicznych, którzy wpływ mieli na wytworzenie owego prądu wnoszącego dezorganizacyę w szeregi społeczne.

Nietzsche nie zadawalający się ideałami moralności dzisiejszej, stawiający kategoryę ludzi wybranych po za dobrem i złem, ryczałtowo potępiony został, a krytycy oświadczyli, że jest on dekadentem, że nie uznaje żadnej moralności. Czyż tak jest w istocie?

W obec rozgłosu, jaki uzyskały teorye Nietzschego, zbytecznem byłoby tłomaczyć, co rozumie on przez moralność przeznaczoną dla tłumu, moralność niewolników, a moralność wybranych, wyniosłych panów. Do wyróżnienia tego doprowadziła Nietzschego, jak sam powiada, historya: jednostki silne, wybitne, kształtujące życie i prowadzące świat na nowe tory hołdowały zawsze zasadom, które go podtrzymywały. Nie cofały się one przed niszczeniem, gdy było potrzebnem dla dalszej budowy, nie nazywały złymi postępów kultury, opartych na niszczeniu istniejących form i organizmów, moralność chrześcian, Indusów i Schopenhauera nie przesłaniała im świata. Zresztą moralność ta, jako wyraz światopoglądu uciśnionych, niewolników, nie zadawalniała nigdy ludzi heroicznych. dla których świat ma znaczenie estetyczne. Co jest zdrowem, silnem, śmiałem, zgodnem z prawdą, pięknem, wdzięcznem i wzniosłem, jest też dla nich dobrem. Ludzi i rzeczy chore, bezsilne, tchórzliwe, nieszęśliwe, bezradne i brzydkie nazywają oni złemi. Ten sposób oceny właściwy był wszystkim ludziom wielkim (Rysz. Wagner w Bairucie — Rozmyślania nie na czasie). Trudno nie rozpoznać tu ludzi z czasów odrodzenia, których z takim artyzmem charakteryzuje Burckhardt (Geschichte der Renaissance in Italjen), a którzy do dekadentów wcale podobnymi nie są. Tem mniej też pozytywny ideał Nietzschego zaliczymy do kategoryi przedstawicieli upadającego życia, że „heroiczny człowiek pogardza swoją pomyślnością, cnotami występkami, że siła jego polega na zapominaniu o samym sobie“ (Schopenhauer jako wychowawca — Rozm. nie na cz.). Siła, i zawsze siła, przejawiająca się jako chęć władzy, ale bynajmniej nie samolubnej, stanowi dla Nietzschego probierz wszelkiej wartości. Nie mierzy on uczynków idealną miary prawdą, przeciwnie kłamstwo, iluzya jest dobrem, skoro popiera życie, powiększa siłę życiową. Wielki zarzut, jaki stawia historycznemu wykształceniu, jest, że pozbawia on iluzyi i wiary, że burzy jednolitość osobowości, a więc zmniejsza jej siłę.

Siły potencyalne, które kiedyś odrodzić mogą świat, stworzyć prawdziwego człowieka, spoczywają dziś według mniemania Nietzschego w wielkich ludziach: filozofach, artystach i świętych. Uczonych wyłącza nasz filozof zupełnie, bo nie są oni mędrcami, oskarża ich o jałowość, porównywa do starych panien, które minęły się z celem kobiety, bo nie dają życia. Nauka stoi w takim stosunku do mądrości, jak cnota do świętości, jest ona zimną i suchą, nie posiada miłości i nic nie wie o istnieniu głębokiego uczucia niezadowolenia i tęsknoty. Etyce więc, pojętej jako wielkie rozbudzenie i zapłodnienie życia, radby nasz filozof podporządkować nawet naukę, nawet prawdę. Nie można obwiniać go o nieuznawanie etyki w ogóle. Celem natury jest geniusz, tymczasem ludzie zamiast pomagać jej w tem dziele, „cały ustrój życia obliczają na to, aby samego życia nie odczuwać“. „Całe bezmyślne poruszanie się człowieka po ziemi, miasta i państwa, wojny, wzajemne współzawodnictwo jest jak gdyby dowodem umyślnego cofania się, jakby umyślnej dążności człowieka do wydziedziczenia się ze swej metafizycznej natury“. Na dnie teoryi Nietzschego bowiem są hypotezy czysto przyrodnicze, jak przemiana gatunków, dobór antropologiczny i inne. Cele zaś i dążności giną we mgle metafizycznej.

Za metafizyczne uważać musimy pojęcie moralności, którą każda jednostka snuć ma z głębi własnej istoty. „Moralność w znaczeniu dotychczasowem, a więc oznaczona z góry, przeprowadzająca zamiary (Absichten-Moral), była przesądem, rzeczą zbyt pośpieszną, może tymczasową, ale w każdym razie czemś, co zwyciężonem być musi“ (Po za dobrem i złem). Nie jest to więc negacya moralności w ogóle, bo w takim razie jakież znaczenie miałyby same pisma Nietzschego poświęcone nietylko burzeniu istniejącej, ale i budowaniu przyszłej moralności, ale odwróceniu wartości dzisiejszych. Ubóstwienie sił nie cofa się nawet przed myślą o gwałcie, bo bezwzględnym być musi przyszły ideał człowieka, gdy mu to będzie potrzebnem do przeprowadzenia jego zamiarów.

Metafizycznem będzie również pojęcie nadczłowieka. Czem on będzie, Nietzsche nie określa i zapewne sam dokładnie nie wie. Pojęcie to tkwi z jednej strony w teoryi przemiany gatunków, która przeprowadziwszy organizmy przez wszystkie szczeble niższych ustrojów, jako do najwyższego swego wyrazu doszła do człowieka, kiedyś więc stworzyć może i wyższy gatunek — nadczłowieka. Z drugiej strony Nietsche przypuszcza świadome kształtowanie życia przez jednostki wybitne: mędrców, poetów i świętych, którzy stanowić mają materyał dla owych ludzi przyszłości. W jaki sposób działanie natury zlewać się będzie z usiłowaniami wybitniejszych jednostek, czy one, pomimo najkorzystniejszych warunków istnienia przy najwyższym rozwoju osobniczym nie miną się z celem natury, przedłużenia gatunku, o tem teorya, a raczej poezya Nitzschego milczy.

Metafizyczną wydaje nam się być również owa wiara w ostateczny cel przyrody, jakim jest stwarzanie najwyższego piękna, wyrażające się dziś w stwarzaniu wielkich ludzi. Owa tęsknota do wielkich ludzi jest zresztą właściwą wszystkim heroicznie nastrojonym osobowościom, „nie trzeba być buddystą, aby nosić w sobie tęsknotę do odrodzenia się jako geniusz i święty.“

Natura nie dba o jednostkę, powiada gdzieindziej Nietzsche; a więc dba o całość, o przyszłość, czyż takie schopenhauerowskie przypisywanie naturze świadomych celów nie jest metafizyką?

Sam Nietzsche nazywa kilkakrotnie swoją naukę teoryą rozwijającego się życia (des aufsteigenden Lebens), dekadentyzm zaś, jak mówi Bourget, nie ma jutra. Dekadentyzm nie jest

*) Dekadentyzm i jego filozofowie Paweł Bourget i Fryderyk Nietzsche — Warszawa 1893 r.

Apostołowie mierności.

— —

Idąc raz alejami, usłyszałem taki urywek rozmowy, prowadzonej między dwojgiem młodych ludzi.

On. Tak ci się zdaje, dopókiś młoda, ale zobaczysz: przyjdzie czas, zaświeci staropanieństwo w oczy i popłyniesz za falą, jak wszyscy...

Ona. Czyż nie można oddać się pracy, żyć dla idei.

On. To znudzi cię prędko, bawi cię to teraz, boś jeszcze zbyt młoda.

Ona. Jesteś pesymistą.

On. Cóż za pesymizm? Wszak nie z książek go wziąłem! Życie mnie nauczyło i ciebie nauczy...

Jakież to typowe — dla naszego czasu, dla naszych stosunków.

Za falą, za falą! to hasło nasze...

Ale porzućmy wypadek szczegółowy; przejdźmy do do ogólnego.

Jakaś młoda dusza, stęskniona za światłem, usiłuje wybić się z tej duszącej atmosfery mierności; szuka powietrza, szuka przestrzeni, szerszego widnokręgu... Pojawia się starszy kuzyn, brat lub niewiem kto wreszcie i zaczyna oblewać zapaleńca zimną, cuchnącą wodą swego doświadczenia“.

On starszy, on doświadczony, on wszystko to wie, wszystko przeszedł w swoim czasie; życie go wyleczyło ze złudzeń!

— Nieprawda! Życie z niczego cię nie wyleczyło, bo nie było z czego leczyć; bo gdybyś to wszystko przeszedł, nie zostałbyś tem, czem jesteś — apostołem mierności. Udawałeś może kiedyś entuzyastę, gdy była moda na entuzyazm; dziś pozujesz na zblazowanego — bo dziś inna moda. O inna, inna...

Ludzie pragnący światła; ludzie zachowujący w sercu swojem iskierkę ducha Prometeuszowego; ludzie, którzy chcą świat przerobić, popchnąć dzieje nowym torem, którzy pragną wydrzeć przyrodzie tajemnice wszechrzeczy; promień szczęścia porwać niebu i rzucić milionom — tacy ludzie we wszystkie wieki, we wszystkie czasy stanowili znikającą ilościowo mniejszość; były to zawsze tylko jednostki. Ale w innych czasach jednostki te stały na czele społeczeństw swoich, a wszelkie aspiracye ku tym wyżynom spotykały jeśli nie poklask, to przynajmniej uznanie i szacunek.

Dziś inne czasy! Dziś każdy poryw entuzyazmu jest śmieszny; na każdą próbę rozwinięcia skrzydeł do lotu odpowiadamy z całym aplombem naszego kurzego rozumu, z wyżyn tej kupy śmieci, na której spoczywamy wraz z kogutem bajki:

— Dzieciak z ciebie! Porzuć te złudzenia!

O bo też mądrzy jesteśmy mądrością życia; płaszczymy się przed faktem, za nic idea!

Dawno wiadomo, że nie ma wielkich ludzi dla ich lokajów; a nie mniej pewną jest rzeczą, że w oczach tych ostatnich uchodzili za głupców. Kucharka Heinego tak była pewną tego co do swego pana, że trwała przy swem przekonaniu wbrew opinji całego świata. Wprawdzie uczą nas w szkołach o jakichś Prometeuszach, którzy wchodzili po ogień do nieba; o jakichś Kolumbach, którzy szukali nowych światów, o Brunonach, którzy umierali na stosach, ażeby nie wyrzec się przekonań swoich i o tych innych Kolumbach świata moralnego, których uczcił najlepiej wielki pieśniarz francuzki, nazywając tak, jak ludzie zwykli nazywać — szaleńcami *). Ale to są wszystko dawne dzieje, minione czasy prostoty; każdego z takich szaleńców przytem zbadał jakiś uczony profesor-doktor, położył na nim pieczęć swoją i powiedział:

— Zapisać go w regestra dziejów!

Musimy ugiąć się przed powagą profesorów-doktorów i dostawać w szkole cięgi za tych uznanych szaleńców; niechże nam wolno będzie plwać na nieuznanych!

Kolumb nie tylko szukał nowego świata, ale i znalazł go! Prometeusz nie tylko chodził do nieba, ale przyniósł ogień; trudno — korzy-

*) Sur la croix, que son sang innonde,
Un fou, qui meurt nous legue un Dieu.

zdolnym do poświęceń głębokiej wiary, Nietzsche głęboko wierzy w głoszone doktryny i swojemu Zarathustrze wierzyć w nie każe do tego stopnia, że dochodzi on do potępienia bezwzględnego całej dzisiejszej cywilizacyi, która nie dąży do zgody, do jednolitości, która przyjąć nie chce przyszłej religii — kultu wielkich samotników. Dekadenci nazywają siebie wewnętrznymi wirtuozami ducha, mało zdolnymi do czynności prywatnych czy publicznych, tymczasem Nietzsche swoim wybranym, a więc tym, na których jedynie uwagę zwraca, każe pracować nad sobą, przetwarzać siebie dla tego jedynie, by pełniejszą ręką rozdawać potem dary swego ducha. Nie biorą oni udziału w życiu społecznem, bo nie widzą w niem korzyści dla najszerzej pojętej idei ludzkości, a raczej obniżenie własnego poziomu moralnego.

(Dokończenie nastąpi.)

Dawniejsi a teraźniejsi śpiewacy.

Narzekamy niejednokrotnie — i słusznie — na hołdy artystom, a wielkim śpiewakom i śpiewaczkom w szczególności. Z radości i zachwytów, jakimi witają szpalty pism każdą nowoprzybywającą gwiazdę wokalną, sądzić by można, iż świat cały, wszystkie stosunki społeczne, cała wiekowa praca umysłu ludzkiego obraca się tylko dokoła wziętego delikatnym, jak dźwięk fletu, sol górnego reklamowanej śpiewaczki.

— Dajcie mi pieniądze, wydawane corocznie na bukiety, wieńce i podarki dla gwiazd, gwiazdek i gwiazdeczek scenicznych, a usunę nędzę ludzką! — woła jeden z filantropów, łamiący sobie głowę nad sposobem stałego opodatkowania bogatych na korzyść biednych.

Jeżeli dziś przybycie „genialnego“ śpiewaka lub śpiewaczki jest alarmem, wywołującym baczność całej t. zw. inteligencyi, która uczy się na pamięć curiculum vitae scenicznej gwiazdy, wnika w jej upodobania, przyzwyczajenia, powtarzane przez pisma tysiąckrotnie, zdobi wizerunkami jej chińskie etażerki w salonach, — to sto lat temu, cześć dla tenorów i sopranów liryczno-dramatyczno-bohaterskich była nierównie większa jeszcze. Trudne do uwierzenia, a jednak prawdziwe; trudne — zdaje się bowiem, iż niepodobna większymi hołdami otaczać bożki sceniczne nad te, jakie dajemy im teraz; prawdziwe — gdyż fakty mówią o tem.

Baltazar Ferri, słynny pod koniec 17 w. sopranista, który za jednym oddechem potrafił przejść dwie oktawy nieprzerywanym, w górę i w dół biegnącym trylem, który bez akompaniamentu akcentował wszystkie półtony chromatyczne, nie myląc się nigdy, — był przedmiotem tysiącznych owacyj ze strony publiki. Powóz, którym wracał do domu po każdem przedstawieniu, zasypywano stale różami. Gdy, powołany z Neapolu do Florencyi, przybywał tam, tłum rycerzy i dam szlachetnego rodu podążył na spotkanie jego trzy mile pieszo, przyjmując go, jak przyjmowano dotąd jedynie książąt i księżniczki krwi. Farinelli, urodzony w 1805 r. w Neapolu, znany z potęgi i siły głosu, budząc dokoła siebie entuzyazm szalony, doszedł do największych zaszczytów, jakie kiedykolwiek spotkać mogły śpiewaka. W Madrycie zrobiono go grandem hiszpańskim, obsypano orderami najwyższego rzędu, wreszcie liczono się z nim, jako z wpływową osobistością polityczną. Posłowie dworów zagranicznych, a nawet regenci obcokrajowi, chcąc przeprowadzić plany swoje w Madrycie, zwracali się ku niemu, jako ku osi ówczesnej hiszpańskiej polityki. Wiadomo, że Marya Teresa, zmuszona do uprzejmej korespondencyi z p. de Pompadour, pocieszała się tem, że ta ostatnia skutkiem powikłań okolicznościowych, usiłowała za pomocą zręcznych i pełnych pochlebstw bilecików, zdobyć sobie Farinellego, a Schlosser w swojej historyi 18go wieku, zaznaczając uczciwość i wielki talent polityczny śpiewaka, oburza się na Maryę Teresę za porównanie go z metresą Ludwika XVgo.

Tysiące hołdów, niedoścignionych dla obecnych śpiewaków, spotykało kolegów ich i koleżanki w dawnych czasach, ale też bezwarunkowo artyzm ich stał nierównie wyżej od artyzmu przeciętnej teraźniejszej gwiazdy wokalnej. O Farinellim wszystkie podręczniki muzyczne wspominają, jako o niezwykłem zjawisku. Znany jest pojedynek jego z głośnym w swoim czasie trombonistą, który akompaniując mu do jakiejś aryi, postanowił przetrzymać go na nucie, oznaczonej podwójnym trylem, po długim wysiłku wszakże, zmęczony, bez tchu, oderwał od ust instrument, sądząc, iż rywal, również wyczerpany, przerwie tryl jednocześnie i zostawi tym sposobem spór nierozstrzygnięty. Farinelli wszakże, dobrotliwym uśmiechem okazując tromboniście, iż dotychczas żartował z niego jedynie, zaatakował nutę tym samym oddechem, z taką samą siłą, trzymał ją w nabrzmiewającym stopniowo i stopniowo obniżanym, a następnie w kaskady potoczystych gam i pasażów zmienionym trylu tak długo, póki głośne brawa i okrzyk zachwytu zdumionej publiki nie przerwały swobodnej igraszki wokalnej. Znanem jest również zwycięztwo Farinellego nad współczesnym mu, również wielkiej miary śpiewakiem, eunuchem Seuexino, z którym jednocześnie występowali w Anglii w 1734 r. Seuexino odtwarzał rolę gniewnego tyrana, Farinelli zaś — nieszczęśliwego więźnia, skutego łańcuchami. Ten ostatni pierwszą aryą swoją zmiękczył tak dalece serce groźnego władzcy, a raczej przedstawiciela jego na scenie, iż Seuexino, zapomniawszy najzupełniej o tem, że patrzą nań tysiące oczów, wyszedłszy z roli swej całkowicie, padł w objęcia rywala swego i, ściskając go, wołał:

— Zwyciężyłeś mię, nie masz sobie równego, musisz zwyciężyć wszystkich.

Tego rodzaju cuda wokalne nie powtarzają się już dzisiaj. Kult muzyki, słusznie według jednych, ze zgubą dla społeczeństwa według innych, nie ustaje wprawdzie, wymagania nasze jednak, zwłaszcza na punkcie śpiewu, obniżają się stanowczo.

Z szeregu gwiazd, poprzedzanych szumną reklamą, rzadko kiedy i rzadko która nie zawodzi oczekiwań: najczęściej słuchacz, spodziewający się niezwykłego zjawiska muzycznego, doznaje całkowitego lub częściowego rozczarowania. Gwiazda mając, dajemy na to, głos wspaniały, pozbawiona jest dostatecznej techniki i uczucia; posiadając znakomitą szkołę i mistrzowską technikę, nie może imponować głosem — i tak zawsze. Dosyć porównać szkoły śpiewu 17go i 18go w. z teraźniejszemi, aby mieć pojęcie o ile mniej żądamy od obecnych adeptów sztuki.

Brendel pisze:

„Uczniowie szkoły rzymskiej byli obowiązani ćwiczyć się codziennie godzinę w atakowaniu trudnych nut, dla nabrania łatwości ich wykonania; drugą godzinę mieli przeznaczoną dla wprawy w trylu, trzecią na szybkość i bieglość w oddawaniu pasażów, czwartą na kształcenie się w literaturze muzycznej, piątą na wyrobienie ekspresyi i smaku estetycznego, a wszystko to pod kierunkiem mistrzów, którzy kazali im śpiewać przed zwierciadłem, dla uniknięcia szpetnych grymasów twarzy, niezręcznych poruszeń mięśni, marszczenia czoła, mrużenia powiek, wykrzywiania warg. — Wyżej wymieniona praca zajmowała tylko ranek. Po południu pół godziny obracało się na teoryę dźwięków, drugie pół na kontrapunkt, całą godzinę na opracowanie reguł i ćwiczeń, zadanych przez mistrzów; dalej — całą godzinę na czytanie książek muzycznych, reszta zaś dnia na grę fortepianową lub smyczkową. — To były zwykłe, codzienne ćwiczenia, przed dopełnieniem których nie wolno było uczniom opuścić szkoły. Skoro wypuszczano ich po za obręb jej murów, biegli coprędzej przed Porta Angelica, niedaleko wzgórza Mariusa, aby śpiewać tam z echem, odpowiedzi którego wykazywały im popełniane błędy. Często też byli wzywani do śpiewu w kościołach podczas uroczystości świątecznych, nadto — słuchali wiel-

---

my się przed faktem. Niech że nam wolno będzie wyśmiać ideę, urągać tym, którzy szukając nie znajdują; którzy dążąc, nie dochodzą do celu swoich dążeń.

Powodzenie! To wielkie hasło naszych czasów, bóstwo próżnych głów, świecących miernotą z pod cynicznych gołych czaszek! To mądrość tych, którzy w życiu swojem ani razu nie zamarzyli o tem, żeby choć na główkę od szpilki zwiększyć dolę ludzkości, dolę swoich braci!

Nie to jest rozpaczliwem, że tacy stanowią większość! Większością zawsze byli, bo ich to imię legion. Ale to jest rozpaczliwem, że oni głos podnoszą; że cynicznym śmiechem zagłuszają wszelkie szlachetniejsze porywy; że każą swojem nieczystem tchnieniem każdy rozwijający się pączek, aby, zamiast świeżego i wonnego, powstał z niego ów blady martwy od urodzenia cmentarny kwiat, kwiat żywiony sokiem trupów!

Lecą z wiatru poświstem,
Stopione w mgłę czarną,
Kazić tchnieniem nieczystem,
I siać w polu ojczystem
Złe ziarno.
Tłumić lepsze natchnienia,
Siać nędzę i ciemność
I bezmyślność zwątpienia,
Co czyn każdy zamienia
W nikczemność!

Odejmijcie temu obrazowi grozę tragiczną, demoniczną żądzę złego, sprowadźcie go do poziomu trywialności, banalności, pospolitości, a będziecie mieli apostołów miernoty! Nie tragizm złego czynnego, ale bagno stojące gnuśności.

Może być, że wiele jest kłamanych porywów, że nieraz wystawiają się na pokaz w chęci popisania się; ale ileż wyższą jest już sama chęć popisania się czemś podobnem, od popisywania się zblazowaniem lub cynizmem! Tu przynajmniej mamy poczucie tego, gdzie jest dobre, do czego powinienem dążyć; jest uznanie dla najżywotniejszych warunków bytu społecznego; a gdzie jest takowe, tam przy dobrej chęci i poparciu łatwo się rozwinie szczera chęć pójścia tą drogą, która się tak piękną wydaje. Dobre, robione początkowo dla popisu, dla mody, stanie się następnie potrzebą. Ale my nie mamy mody na dobre, tylko na złe!

My tyle właśnie mamy zapału,
Ile go mieści czara z kryształu,
Tyle uniesień — co pian w tej czarze,
I tyle ognia, co w tym puharze!
Z piersi helotów ogień nie bucha,
Brzęk szału tak bawi, jak brzęk łańcucha.
Wielkich klęsk — wielkie serca przyczyną...
Niech żyje wino!

Gdzie społeczeństwo składa się z takich „szkieletów“, tam żadne ziarno nie zapadnie głębiej, żadne hasło nie zbudzi do życia. I daremnie uderzać będą swoją kościstą dłonią o próżną pierś; nie zadrga w niej serce, nie buchnie z niej płomień, bo są:

Bez miłości, bez zapału;
Bez czci ideału!

Ale niech się zbiorą przyjaciele i wesołe panie na kolacyjkę, niech zapukają korki, zabiegają kelnerzy, rozbudza się zapał...

Zapał? Nie, to nie zapał, to musująca piana płytkich serc!

Czy nie na takich to doświadczeniach budują i nasi apostołowie miernoty swoją filozofję życia? Czy nie takie zapały mają na myśli, gdy mówią o tem, że wszystko przeszli?

O, w tej szkole pewnie, że się nie nauczą czci ideałów!

Górą mielizny! Na głębiach — giną!
Niech żyje wino!...

W. M. Kozłowski.

kich mistrzów, otaczanych protekcyą Papieża Urbana VIII. Wracając po każdym koncercie do kolegium, usiłowali naśladować podniosłe wzory, zdając z tego sprawę w obec kierowników swoich.“

Nic dziwnego zatem, że sztuka śpiewu doszła w tym czasie do punktu kulminacyjnego swego rozwoju. W stosunku do ówczesnej epoki uznać musimy stanowczo jej upadek teraz.

Czy mamy obecnie jakąkolwiek szkołę wokalną, o której by powiedzieć można, że wydaje mistrzów?

Sądy, o kilku głośnych w Europie nauczycielach śpiewu podzielone są na tak sprzeczne ze sobą obozy, że trudno wywnioskować z nich cośkolwiek. Każdy adept sztuki wokalnej odbywa istne wędrówki od Ananasza do Kaifasza, zanim wzbije się ku wyżynom sławy lub zniknie w tłumie zapoznanych. Zwykle bywa tak, że, co jeden ze znanych mistrzów zrobi uczniowi swemu dobrego, to drugi popsuje. Jeden, dajmy na to, postawi głos na sopran, inny z pewnością zmieni go na kontralt; jeden wykształci tony piersiowe, drugi zaniedba je zupełnie, wyrabiając natomiast falcet i nuty średnie.

Zaiste, gdwiazdy wokalne naszej doby same sobie: śpiewaczej krtani, którą los je obdarzył, pracy własnej i instynktowi, wskazującemu im metodę właściwą, zawdzięczają powodzenie swoje; ogniska wokalnego w rodzaju, jakie zeszłego wieku stanowiło kolegium rzymskie, wydające całe legiony mistrzów śpiewu, nie mamy dziś zupełnie.

Na wszystko musi przyjść czas i pora właściwa. Złoty wiek sztuki wokalnej minął, mamy za to postęp szybki, prawie nieuchwytny w dziedzinie wiedzy, odkryć i wynalazków. Nie sarkałoby się na ujemne cechy śpiewaków obecnych, gdyby nie wygórowane ich ambicye i żądania, rosnące w stosunku geometrycznym do nakładu sumienności i pracy. Najmarniejszy kabotyn włoski, pojawiający się gdziekolwiek w obcym kraju, każe setkami sztuk srebra i złota opłacać nadszarpnięty częstokroć, skutkiem wadliwej metody lub braku jej zupełnego głos swój, zmanierowaną dykcyę, iście cyrkową niekiedy mimikę.

Na obronę dzisiejszych śpiewaków można powiedzieć jedynie, iż mają oni nierównie trudniejsze zadanie, aniżeli dawniejsi. Dziś bohaterski tenor i sopran sam musi myśleć o sobie, oszczędzać się w spokojnych momentach i całą pełnię siły oraz ekspresyi chować na sceny dramatyczne, gdzie jedną nieraz nutą wywołać musi żądany efekt. Dawniej sam kompozytor kierował siłami oraz środkami krtani śpiewaczej.

Biehl w swoich Musikalische Charakterköpfe, wspominając o słynnej w XVIII wieku śpiewaczce, Faustynie Bordoni, małżonce znanego podówczas, wielce płodnego niemieckiego kompozytora, Jana Adolfa Hasse, poprzednika Mozarta pisze:

„Zadaniem każdego ówczesnego twórcy muzycznego było prowadzenie głosów naturalnie i z prostotą tak, aby środki fizyczne śpiewaka pozwoliły mu bez wysiłku dociągnąć operę do końca; dziś zaś, przeciwnie, (nb. książka Biehla wyszła już 40 lat temu, kiedy opera dramatyczna była zaledwie w zawiązkach), śpiewak sam starać się musi o umiejętny podział siły i wokalnych zasobów swoich. W pojęciu teraźniejszej opery, jako dramatu muzycznego, tkwi usprawiedliwienie konieczności tej z punktu estetytycznego.

Zwyczajem przeciętnych kompozytorów XVIII wieku było pisane nietyle dla zilustrowania za pomocą harmonii i melodyi słów tekstu wierszowanego, nie dla przeprowadzenia nowych pomysłów i zmian kontrapunktowych, ile dla uwydatnienia środków i sił śpiewaków samych. Hasse w Niemczech sypał tuzinami dzieła muzyczne, aby w odtwarzaniu ich mógł błyszczeć piękny, czysty, o olbrzymiej skali i świetnej ekspresyi głos małżonki jego, Faustyny, każdą zaś zawistną jej rywalkę wyprowadzał na manowce, niczem więcej jak tylko dodanym do głównej aryi akompaniamentem skrzypiec w tonie delikatnych i cichych akordów picicato trzymanym. Każdy niepotrzebny pyłek głosowy wówczas, każda najlżejsza nierówność koloratury, każde twardsze zaatakowanie najmniej znaczącej nuty, każde mniejsze przejście w modulacjach i interwalach wokalnych uwydatniało się, jak na dłoni, sprowadzając na bezradną śpiewaczkę sąd surowych krytyków.

Dzisiejszy kompozytor, chcąc zbić z tropu artystę, działa wręcz przeciwnie. Burzą tonów, chaosem pomieszanych dźwięków oboi, klarnetów i bębnów napada na niego, układając frazesy melodyjne w ten sposób, aby śpiewak nie był wstanie schwycić oddechu w przejściach, pełnych najwyższej ekspresyi dramatycznej, pozostawiając mu tym sposobem dwie alternatywy: albo poddanie się całkowite potędze orkiestry i zagłuszenie przez nią jego głosu albo też przekrzyczenie jej kosztem swej krtani.

Pierwszym prawdziwie dramatycznym śpiewakiem był tenor paryzki, Roger. Riehl pisze o nim:

„Jako Eleazar w Żydówce Halevy'ego, siedząc w przedsionku sądu i walcząc z postanowieniem skazania Racheli na śmierć, lub też wyratowania jej, rozwija akcyę swą stopniowo; w twarzy jego czytać można nietylko wrażenia, lecz i myśli wraz z bolesnem ich następstwem po sobie. Mimika artysty z rzadką logiką i wyrazistością obrazuje szereg wrących w nim uczuć; dykcyą swoją dopełnia intencye autora i kompozytora, indywidualizując to, co tamci uogólnić się starali. Potęgą głosu szafuje tak umiejętnie wybuchając całą jej pełnią w najdramatyczniejszych momentach jedynie, iż osięga tym sposobem efekt nietylko podwójny, lecz poczwórny i więcej jeszcze.“

Roger, francuz z pochodzenia, uosabiał dwie szkoły: francuzką i włoską. Jako francuz wcielał w śpiew swój deklamacyę, do której wszyscy kompozytorowie francuzcy, od Plulidora począwszy, tak wielką przywiązywali wagę; technika jego wokalna natomiast była czysto włoską.

Właściwie, cały ogół nietylko dawniejszych, lecz i teraźniejszych śpiewaków podzielić możemy na dwa obozy, a raczej na dwie szkoły: włoską i francuską. Pierwsza rozwija głos jedynie, uważając go za cel sam w sobie, dla drugiej śpiew tylko w połączeniu z wyrazistą mimiką i dykcyą stanowi środek osiągnięcia silnych efektów dramatycznych.

Do lepszych przedstawicieli szkoły francuzkiej należą Jan i Edward Reszkowie, oraz Chaurel. Dwaj pierwsi, zarówno jak i trzeci, celują dykcyą, mimiką, deklamacyą i patosem; głos każdego towarzyszy jedynie akcyi, nie stanowiąc celu samego w sobie, co u Edwarda Reszke, obdarzonego rzadkiej potęgi i siły basem tembardziej podziwiać należy.

Śpiewacy włoscy, wzorując się częstokroć na francuzkich, wpadają w manierę niesmacznego realizmu, podczas gdy francuzi nie są w stanie otrząsnąć się z dawnej afektacyi akademickiej, czyniącej grę ich czasami wymuszoną, sztuczną.

Wagner stworzył odrębny rodzaj mistyczno-epiczno-rycersko-bohatersko-legendowej całkiem odrębnie sharmonizowanej muzyki, do której mało nadają się temperament oraz lekkie głosy włochów i francuzów, której natomiast odpowiada w zupełności niewygasły jeszcze kult romantycznego dramatu w Niemczech; właściwa szkoła niemiecka jednak w całem tego słowa znaczeniu nie istnieje zgoła. Riehl podsuwa sposób śpiewania Niemców raczej pod metodę francuzką, aniżeli włoską i u nich bowiem jak u francuzów, przeważa poniekąd wyrazistość dykcyi nad samym materyałem wokalnym. Ogólnego prawidła, naturalnie, niepodobna stosować do wyjątków, które, kształcone na obcych wzorach, zatracają częstokroć cechy specyalne narodowościowe, podciągając się całkowicie pod regułę i prawidła mistrzów zagranicznych. Tak n. p. każdy z naszych wybitniejszych artystów, uosabia inną szkołę: bracia Reszke bezsprzecznie są przedstawicielami metody francuzkiej; Klanryńska włoskiej par excellence z pewnem dążeniem ku wyrazistości dykcyi i akcyi francuskiej. Mira Heller i Chodakowski — ten ostatni należący do składu opery warszawskiej — łączą dwie te szkoły, jak niegdyś Roger. Dewiza Chodakowskiego: „Śpiewak dopiero wtedy staje się artystą, gdy, obok dokładnej techniki wokalnej, zdoła w swoim śpiewie wytworzyć doskonałą harmonję między głosem a słowami tekstu“ — ma za sobą słuszność zupełną.

Bezwątpienia głos sam i metoda nie wystarczają. Śpiewak staje się bóstwem tłumów, wtedy dopiero, gdy, prócz głosu imponuje wytworną mimiką, dykcyą oraz ruchami, pełnymi wdzięku i prawdy. Niestety jednak, nawet i pod tym względem widzimy dużo zaniedbania u większości teraźniejszych artystów. Pomimo to najmarniejszy, najwięcej zmanierowany kabotyn włoski bywa u nas przedmiotem niezliczonych hołdów i owacyj w formie wieńców, bukietów, pierścieni, zegarków, breloków, uważając się — kto wie? — może za zapoznanego, z bólem serca myśląc o tryumfach przodków swoich, orderach i politycznych misyach Farinellego, o świetnym bohaterskim pochodzie z Neapolu do Florencyi Baltazara Ferriego.

C. W.

Szkoła i wychowanie.

Reformy szkolne dwudziestego wieku.

(Dokończenie.)

Pomijając tę nawiasową uwagę, poruszyć musimy jedną jeszcze, ważną bardzo kwestyę. Wbrew wszelkim wskazówkom hygieny i pedagogii, dziś wszystkie zakłady naukowe koncentrują się w miastach i to przeważnie w większych. W epoce, w której dziecko najszybciej rozwija się i rośnie, każemy mu oddychać rok cały z krótkiemi wakacyjnemi przerwami atmosferą przesyconą dymem, wyziewami kuchennymi, kurzem i oddechem mrowiska ludzi. Wiemy już, jak zgubnem jest to dla zdrowia; dzieci miejskie wysyłamy na wieś na kolonie letnie, ale dzieci ze wsi zmuszamy do całorocznego pobytu wśród murów, godząc się z góry na to, że wykształcenie kosztem sił i zdrowia zdobywać mają. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że przyszłość potępi ten zgubny obyczaj. W interesie ludzkości będzie leżała pewnego rodzaju decentralizacya, a rozwój komunikacyi, który niewątpliwie wciąż postępować nie przestanie — niezmiernie zadanie ułatwi. Szkoły, o których wspominaliśmy, będą gęsto po całym rozsiane kraju; znajdować się będą przeważnie na wsi lub w małych miasteczkach. Nawet mieszkańcy miast wielkich wysyłać będą swe dzieci do podmiejskich zakładów naukowych, a szkoła bez ogrodu stanie się kiedyś krzyczącą anormalnością.

W przeciwieństwie do końca dziewiętnastego wieku, którego uderzającą cechą jest pewna szpitalna chorobliwość, epidemiczna nerwoza, manja ogarniająca całe pokolenia i popychająca je do pessymizmu i apatyi przerywanej gorączkowymi wybuchami zwyrodniałych jednostek — wiek przyszły przez samą reakcyę stanie się wiekiem par excellence hygienicznym. My czciliśmy naukę i rozum, dla dzieci naszych zdrowie stanie się celem dążeń. Sport i gimnastyka zostaną równouprawnione z algebrą i chemją, a świeże powietrze na równi z odzieżą i pożywieniem do niezbędnych środków zaspokojenia potrzeb człowieka się zaliczy. Nastąpi pewien zwrot do ideałów klasycznych, zasada: „mens sana in corpore sano“, służyć będzie przyszłym pokoleniom jako maksyma przewodnia w życiu. Z ciasnych kryjówek, nagromadzonych na małej przestrzeni spiętrzonych nad sobą w szeregach wysokich kamienic, z ciemnych ulic, nad któremi zaledwie skrawek nieba — wielkiego błękitnego sklepienia domyślać się każe, z przesiąkłych chorobliwymi wyziewami murów — wyjdzie znów ludzkość na szerokie pole i żyć będzie owiana falami czystego powietrza — ogrzewana słońca promieniami. Życie wielkich miast, to życie skupionego ludzkiego mrowiska w dzień ukryte po fabrykach i biórach, kipiące gorączkowym ruchem w nocy przy świetle lamp gazowych — przedstawiać się będzie jako choroba wieku, źródło wszelkich innych. Dom stanie się dla nas znowu tem, czem być właściwie powinien, tj.

schronieniem przed niepogodą, do którego z konieczności tylko uciekać będziemy.

Jeżeli w życiu ludzi dorosłych reformy na tym punkcie trudne będą do przeprowadzenia, to w każdym razie stanie się niebawem wprost kwestyą palącą zastosowanie ich w okresie wychowawczym życia. Dzieci przynajmniej do 14, lub 15 roku żyć winny w jak największem zbliżeniu z naturą, jak najdalej od anormalnych warunków wielkomiejskiego trybu, odsunięte od gwaru, zgiełku i zamętu. Nie tylko fizyczny, ale i duchowy ich rozwój zyska na tem niewątpliwie. Wrażenia odbierane w tej epoce będą mogły spokojnie utrwalić się, wzmocnić i do równowagi ułożyć. Skupienie umysłu konieczne przy pracy naukowej łatwiejszem się stanie w ciszy wiejskiej i mniej wysiłku sztucznego wywoła. Myśl nie odrywana wciąż zewnętrznemi wrażeniami, rozwijać się będzie swobodniej i samodzielniej, a znajomość praw i zjawisk natury ułatwi się niezmiernie, gdy dziecko nie w zamszonych roślinach i wypchanych ptakach, lecz w całej rozmaitości i pełni jej objawów przyrodę oglądać będzie.

Pokolenie wychowane w ten sposób — rozwijające się harmonijnie wśród normalnych warunków — wyda może mniej ludzi uczonych badaczów i specyalistów, napisze trochę mniej książek i mniej zapewne dokona wynalazków, natomiast przygotuje światu więcej ludzi czynu, — wytworzy więcej pierwiastków odwagi, energji i twórczości i zdobędzie się na to, do czego my dziś nie jesteśmy zdolni, — stworzy nowe ideały. Zamilknie może duch krytycyzmu, sceptycyzm przestanie być patentem na mądrość, ale ludzkość bezwarunkowo odmłodnieje i znowu może nastanie taka epoka, w której: „zapał cudy stworzy.“

Niestety pięknej tej chwili my nie dożyjemy pewnie; przygotowywać się ona będzie bardzo powoli i ludzkość długo jeszcze cierpieć musi skutki dawnych błędów zanim nowe prawdy zwycięstwo nad ciemnotą głów przeciętnych odniosą. — Do szybszych zmian sami zamknęliśmy sobie drogę przez uznanie absolutnej władzy większości nad mniejszością Skutkiem zgubnego tego poglądu w przeważnej liczbie państw europejskich złożono całkowity kierunek wychowania publicznego w ręce rządów. Nie przeczę, że system ten ma i dobre strony; dzięki jemu kształcenie młodzieży stało się sprawą ogólnego znaczenia a przestało być przedsiębiorstwem prywatnem na zysk obliczonem. Nie chciałabym też bynajmniej zwolnić europejskich rządów od ich obowiązków względem wzrastającego zastępu przyszłych poddanych. Sądzę jednak, że i dla nich i dla ogółu byłoby z pewną korzyścią, gdyby obok państwowych zakładów naukowych istniały prywatne, cieszące się zupełną swobodą nauczania. Współzawodnictwo ich ze szkołami rządowemi utrudniałyby do pewnego stopnia ekonomiczne względy — dzięki temu zaś te tylko z nich egzystowaćby mogły, które w zamian za większe ofiary materyalne przedstawiłyby dla wychowańców wyższe umysłowe lub moralne korzyści. W ten sposób uniknąćby można wychowawczych szablonów, dążących do ulepienia wszystkich głów i charakterów wedle jednej oficyalnie sankcyonowanej, stęplem państwowym naznaczonej foremki; rozmaitość metod, programów, kierunków pozwoliłaby uwzględnić wszelkie odcienia temperamentów i umysłów, oraz różnice wyznań, narodowości, przekonań religijnych, a nadto ratowałaby wychowanie od ugrzęźnięcia w przeżałej rutynie lub służenia za narzędzie dla celów politycznych, nie mających nic wspólnego z pedagogją i jej zadaniem.

Że taki system nietylko możliwym ale i bardzo zbawiennym być może, dowodzi przykład państw skandynawskich. Danja n. p. cieszy się zupełną swobodą nauczania i dzięki temu właśnie jest krainą obiecaną pedagogji.*) Szkoły rządowe mają tam wielkie i słuszne uznanie, ale obok nich rozwija się bardzo wiele szkół prywatnych o najrozmaitszych kierunkach, że wspomnę tylko religijno-humanitarnym duchem tchnące szkoły grundwigiańskie dla ludu. W praktyce okazuje się, iż właśnie w tych prywatnych, przez pedagogów z powołania kierowanych instytucyach powstają zawiązki zmian, reform i ulepszeń, które rząd z uznaniem zaznacza i w swoich stosuje programach. Wolność nauczania staje się bardzo ważnym postępu pedagogji czynnikiem, daje pole do doświadczeń na mniejszą skalę i przenoszenia na teren ogólny już wypróbowanych metod. Co innego jest w pewnej grupie rodziców zaufanie do swych poglądów wzbudzić, co innego zaś milionom dzieci narzucić system całkiem jeszcze nieznany. Nic dziwnego, że w obec wielkiej odpowiedzialności ministerya cofają się przed eksperymentami, lecz wskutek tej chwalebnej ostrożności szkoła nie utrzymuje się na poziomie pojęć współczesnych, lecz w tyle za niemi zostaje i wskutek tego też dzieci nasze musimy jeszcze pchać w tym kierunku, z którym rozbrat stanowczy wzięliśmy już sami.

Izabella Moszczeńska.

*) To samo można powiedzieć o Szwajcaryi.

NA WYŁOMIE.

(Echa Kościuszkowskiej rocznicy.)

Po chmurnym poranku złote słońce nieraz z obłoków wygląda i błękit uśmiecha się do nas. A wtedy dusze ludzkie budzą się z odrętwienia i tem goręcej witają blaski niespodziewane a upragnione serdecznie....

Świt Kościuszkowskiej uroczystości w Poznaniu dziwnie ponure ukazał oblicze. Powietrze było ciężkie, z daleka grzmot, tłumiony przestrzenią, zwiastował burzę i ołowiana senność kleiła powieki. Na walnem zebraniu, które było niejako uwerturą narodowych zabiegów około uczczenia bohatera Racławic, zadrgała dysonansem po raz pierwszy niezdrowa nuta politycznej zawiści, a odtąd grała ona bezustannie, choć nie tak fortissimo, w pracach komitetowych, z akompaniamentem niektórych dzienników. Sala hotelu „Wiktorya“ zamieniała się niekiedy w pole bitwy, na którem trzy różne ścierały się armie, a bój ten nie ograniczał się jedynie do wielkich zapasów idei, lecz przybierał raz po raz charakter osobisty, charakter obrony interesów postronnych, nie mających nic wspólnego z politycznemi zasadami. Znaną to rzeczą, że wyznawcy odmiennych ewangelii społecznych lubią generalizować uprzedzenia i sympatye swoje, że aplauz swój i polemikę nie ograniczają jedynie do zasad politycznych, lecz w całym człowieku widzą en bloc przyjaciela lub wroga. Więc biją go albo pieszczą bez względu na to, czy stawia postulat zasadniczej natury, czy też — buty szyje. W pierwszym wypadku jest w oczach przeciwników fałszywym prorokiem, w drugim niedołęgą, — w oczach przyjaciół natomiast greckim Solonem lub szewskim geniuszem. Stara to piosenka, stara jak życie społeczne. A jednak zdawało nam się, że wobec świętości dziejowych pamiątek, które uczcić pragnął nasz naród, przycichną namiętności polityczne i zapanuje ten duch wzajemnej sprawiedliwości i wyrozumiałości, który towarzyszyć powinien potężnym i gorącym dążeniom do wspólnego celu. Zawiodła nadzieja i komitet czasem wywierał wrażenie owych jeży z bajki Szopenhauerowskiej, które w mroźny dzień zimowy tulą się do siebie, aby znaleźć osłonę przed zimnem, a wnet odskakują kłute nawzajem ostremi kolcami. Mimo to hufiec komitetowy nie rozprysnął się na wszystkie wiatry i dzięki taktownemu dowódzcy posiedzeń, dzięki perswazyom, nawoływaniom i ustępstwom spokojniejszych i przejętych powagą chwili żywiołów, stanął szczęśliwie u mety. A w mozolnej tej wędrówce nietylko rozdźwięk wewnętrzny groził rozbiciem, lecz i zewnątrz huczały wiatry burzliwe i złośliwe podjadki kąsały stopy narodowych pątników. W parlamentarnym słowniku polskim nie ma dość silnego wyrazu, aby napiętnować te pokątne wichrzenia, które starały się przeciwdziałać zbieraniu składek na godne uczczenie jubileuszu. Wolno skreślać z programu wszelkie demonstracyjne jaskrawości, wolno grzech polityczny upatrywać w urządzeniu mszy pamiątkowej, wolno nawet sokolskich mundurów lękać się jak zwierząt dzikich, ale paraliżować działalność komisyi finansowej, która gromadzi fundusz niezbędny dla urządzenia najskromniejszej nawet uroczystości, to już nie lojalizm, — to potworność lojalizmu. Stańczycy poznańscy przerośli mistrzów swoich galicyjskich o głowę, bo z obawy przed narodowym szowinizmem tam się schronili w dzikim popłochu, gdzie już nieomal narodowość się kończy. „Dum stulti vitant vitia in contraria currunt“, — rzymski śpiewaku! mądre twoje słowa. Nie wymieniam po nazwisku tych, dla których głośnym policzkiem jest wiersz klasycznego poety, bo nie znaleźli oni odwagi, aby w podstępnym proteście, zamieszczonym w łamach „Kuryera Pozn.“, odsłonić przyłbicę. Niech skryją rumieniec w anonimie swoim, niechaj się za nich rumieni ten organ, który ich gościnnie przytulił do serca.

Oto chmury, które w poranku Kościuszkowskiej rocznicy pokryły firmament, a zanim smutną zakończę opowieść, jeszcze jedna czarna plama tańczy mi przed okiem i żałobny wykrzyknik dyktuje. Według uchwał komitetu miała stać się uroczystym wstępem obchodu msza pamiątkowa w dominikańskim kościele. Wstępuję do świątyni — cicho i pusto. Ogarnia mnie niepokój i w smutnem przeczuciu pytam kościelnego dziada, gdzie lud zgromadzony święci modlitwą pamięć bohatera. Dziad wskazał na boczną kaplicę, a w oczaah tego nędzarza zagrał blask żałości i smutku. Msza Kościuszkowska! ty kopciuszku biedny! W tryumfalnym przybytku kościoła, u stóp ołtarzy wielkich, tobie nie wolno błogosławić dziejowych pamiątek, — gdzieś w kącie, w kaplicy, tam miejsce twoje, tam skryj modlitwę, radość i dumę narodową. Hej! dziadku kościelny! Nie wstydź się żałości twojej i skargi. Ta krzywdy świadomość w sercu prostaka jest w żałobie mojej promieniem słonecznym.... Lecz tu nie koniec udręczeń! W smutnej zadumie zdążam do kaplicy i wzrok badawczy zwracam ku ołtarzowi. Tam mszę tryumfu kapłan ma odprawić, — gdzież zieleń i kwiaty — gdzież wiosny uśmiechy? I znowu szepcę: Msza Kościuszkowska! Ty kopciuszku biedny! Zaledwie w kilka drzewek oleandrowych przystroili ołtarz, tak chudo, tak skąpo, że aż litość brała. Wreszcie ukazuje się kapłan — ani biskup, ani kanonik, ani proboszcz nawet, ot! młodziutki wikary. Przyklęka i odmawiać zaczyna pacierze. Nagle z chóru śpiew się rozlega, śpiew tak przeraźliwy, że z przestrachem oczy odwracam. Krzyk, pisk i wrzaski, cała orkiestra fałszów, cały koncert monstrualnej dysharmonii, — to weselna muzyka, którą Poznań wita narodowe święto. Kto winien? nie rozstrzygam. Stwierdzam fakt tylko, że inauguracya Kościuszkowskiego jubileuszu zakrawała na krwawą ironią.

W bolesnej zadumie oczekuję uroczystego obchodu w „Odeum“ Lamberta. Zbliża się niedziela, zdążam w oznaczone miejsce, a na wstępie jeszcze jedna wieść Hiobowa razi ucho moje: chóry zapowiedziane nie dopisały i śpiewy zbiorowe skreślono z programu. W nerwowym niepokoju wstępuję na salę.

Przeciskam się wśród tysięcy ludu polskiego, nademną i w około mnie wiją się girlandy, przedemną lasy laurów i drzew pomarańczowych, rzeźby, chorągiewki, obicia, festony.

Chmury pierzchają: Niebo rozpromienia się uśmiechem błękitów i słońca. I coraz więcej świat się rozsłonecznia. Z estrady płyną słowa płomienne a serce ludu polskiego wzbiera i wzbiera, aż okrzykiem tysiącznych tłumów zwiastuje radość, miłość i dumę swoją. Mowy, śpiewy, deklamacye, wszystko to jak fala olbrzymia w okół się rozlewa i najzimniejszych porywa i elektryzuje. Zapominam o chmurach, o ciemnym poranku — tu blask, tu słońce, tu wiosna.

Wspaniałość obchodu niedzielnego rozgrzesza Poznań z win wszystkich, które dokładny rachunek sumienia wykazuje. Była to jedna z rzadkich uroczystości, w których lud polski, nie był obojętnym widzem i słuchaczem, lecz rozpłynął się cały w patryotycznem uniesieniu

i uniesienie to zaniósł do przybytku teatru, gdzie ciepły obraz dramatyczny Lassoty uwieńczył obchód tryumfalny... Gdyby tak można wsączyć czar magnetyczny w doroczne święta narodowe, gdyby monotonja naszych obchodów Mickiewiczowskich płomienniejszą zajaśniała barwą, gdyby widz każdy uczuł żywe serca bicie w dzień uroczysty Listopadowej rocznicy! Mam cześć najwyższą dla patryotyzmu Towarzystwa Stelli, ale usiłowania jej wtedy dopiero pomyślny skutek uwieńczy, gdy społeczeństwo poznańskie zaofiaruje pomoc goretszą. Własne jej siły za słabe, na wieczorkach Mickiewiczowskich nuda króluje i niesmak, a serce drzemie spokojnie.

Sulla.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Kronika krakowska.

(3 kwietnia.)

(Słowo prawdy o uroczystości kościuszkowskiej. Pomnik Mickiewicza. — Komedya z kontraktem teatralnym. — Kurtyna Siemiradzkiego. — Polemika o „Jak myślicie“?)

Pisma codzienne tak wyczerpująco podały sprawozdania z uroczystości kościuszkowskiej w Krakowie, że zbytecznem byłoby streszczać jej przebieg w korespondencyi do waszego Przeglądu. Ale nie od rzeczy będzie dorzucić kilka słów prawdy, której ze względów partyjnych lub osobistych będą się zapewne bały wypowiedzieć nasze dzienniki.

Od chwili, kiedy przez założenie Reformy w Krakowie, zmniejszył się wpływ Czasu, ustawało też powoli i wszechwładztwo stronnictwa konserwatywnego. Ilekolwiek razy nadchodziła jakaś uroczystość narodowa, prowadziła się zacięta walka, kto ma stanąć na jej czele i jaki nadać jej kierunek. Dopóki rządził w naszem mieście Zyblikiewicz, dopóty energja jego górowała nad stronnictwami, bo czując się panem położenia, umiał ster wszystkiego ująć w swoje ręce i pogodzić wstrzemięźliwość Stańczyków, do których należał, z ustępstwami dla żywiołów goretszych, o popularność pomiędzy którymi się ubiegał. Niedołężni jego następcy na stolcu prezydentowskim pozwolili sobie wyrwać berło władzy, w skutek czego powstała pewna bezradność i rozpoczęło się działanie ochotników na własną rękę. W stronnictwie konserwatywnem zabrakło ludzi energicznych, mających mir u ogółu i umiejących też nań wpływać, — stronnictwo postępowe zaś trzymało się wprawdzie jakiś czas razem, dzięki niezawsze szczęśliwemu w pomysłach, ale zawsze nieznoszącemu cudzej woli i współrządu p. Romanowiczowi. ale odkąd ta głowa stronnictwa opuściła Kraków dla stanowiska członka wydziału krajowego, w obozie postępowym zapanowała zupełna anarchja. Niema naczelnych wodzów ani w jednem ani w drugiem stronnictwie, — jest za to wielka liczba pułkowników, z których każdemu się zdaje, że zdolny dzierżyć buławę hetmańską. Z tego powodu dochodzi do takich potwornych zaiste objawów jak jest święcenie w r. b. w napółniemieckiej knajpie Johna „bibką“, śpiewami i mówkami rocznicy bitwy pod Miechowem (1863), która była istną rzezią młodzieży krakowskiej, biorącej udział w powstaniu. Takich nieszczęśliwych rocznic. albo całkiem się nie obchodzi, albo co najwyżej nabożeństwem za poległych.

Wynikiem takich stosunków był skład komitetu uroczystości Kościuszkowskich. Można zupełnie nie należeć do zwolenników tak zwanych firm pierwszorzędnych, ale można wymagać i należy wymagać, aby tam, gdzie ogół, gdzie całe społeczeństwo ma dać wyraz swej czci dla bohaterów Racławic, stanęli na czele ludzie znani, zasłużeni, wyższej inteligencyi, dający gwarancyę, iż rzecz rozumnie przeprowadzą, a tem samem, iż na wezwanie ich staną do apelu ci wszyscy, którym nie zabrania „wysoka polityka“ wyłamywać się z bratnich szeregów. Stało się inaczej. Członkowie komitetu, ludzie zapewne dobrej wiary i dobrych chęci — ale nieznani po za rogatkami Krakowa, nie mieli odwagi nawet położyć swych nazwisk pod odezwę, wzywającą cały ogół galicyjski do obchodu rocznicy Kościuszkowskiej. Odezwa ta pomiędzy tego rodzaju aktami pozostanie zapewne unikatem tak przez swą bezimienność, jak słabą treść i niedołężną stylizacyę. Jaki był komitet, tak program ułożono i wykonano. Charakterystyczne jest np., że dopiero jedna z najwyższych rządowych figur zwróciła uwagę komitetów, że należałoby przecież dla podniesienia obchodu prosić o przemówienie marszałka kraju, lub prezydenta miasta. Komitet nie potrudził się wezwać do udziału w pochodzie i zapewnienia odpowiednich miejsc pierwszorzędnym stowarzyszeniom i instytucyom. Całą ozdobą uroczystości były deputacye włościan niosące wieńce ku uczczeniu naczelnika narodu, którym jednak nie zwrócono uwagi, iż w pochodzie cygar się nie pali. Przemówienia były dość krótkie, ale za to dostatecznie liche. Wszędzie panował nieopisany nieporządek. Improwizowany pomnik Kościuszki nie mógł podobać się nikomu, kto posiada zmysł artystyczny. Wieczornica w „Sokole“ wypadła bardzo słabo, a na wiecu ludowym, który zresztą urządzono po za komitetem, a więc nie był za niego odpowiedzialnym, przyszło do zajść gorszących. Iluminacya słaba, zdawkowa, nie czyniła ani w dziesiątej części tego wrażenia, co iluminacya urzędowa w setną rocznicę Trzeciego Maja, lub podczas pogrzebu Mickiewicza. Poprostu nie znać było ręki kierowniczej; nie było ani zapału, ani ciepła. Kto pamięta obchody lat poprzednich (Kraszewskiego, „potrzeby“ wiedeńskiej i dwa powyżej wspomniane — temu obchód Kościuszkowski musiał w porównaniu wydać się nędznym, małym, wprost niefortunnym. A przecież ostatnia walka Polski niepodległej zasługiwała na to, aby obchód jej przerósł inne uroczystości. Tymczasem nie imponował on całkiem, mroził a nie zapalał, brak mu było wreszcie odpowiedniej powagi.

Na domiar złego zakończyły uroczystość niebywałe burdy uliczne. Wina w tem naprzód komitetu, że nie powołał do życia straży obywatelskiej, koniecznej przy podobnych obchodach, ale wina jeszcze większa policyi, której głównym obowiązkiem być winno utrzymywanie w mieście porządku. Już dnia poprzedzającego uroczystość, włóczyły się po rynku bandy nieletnich obszarpańców, które biegały gwiżdżąc i wyjąc i napadały przechodzących żydów. Kilkunastu, a nawet kilku policyantów wystarczało najzupełniej do rozpędzenia łobuzów, lub przechowania ich na parę dni w miejscu bezpiecznem. Nie uczyniono tego, a ponieważ przykład zaraża, więc tworzyły się coraz większe bandy, aż wreszcie podczas iluminacyi rozpoczęły one na wielką skalę wybijanie szyb i wystaw sklepowych, w połączeniu z obrywaniem pejsów żydowskich. Żadna, nawet najgłupsza myśl, nie kierowała tymi wybrykami, — tłuczono bowiem tak okna nieoświetlone, jak i jaśniejące iluminacyą. Brak energii postanowiono nazajutrz wynagrodzić energią w wielkim stylu. I oto w obawie przed bandą łobuzów poustawiano wojsko na placach, zawezwano pomocy kawaleryi. Maluczko brakowało, a wytoczonoby armaty i powołano rezerwę i landszturm do stłumienia „rewolucyi“!

Przejdźmy do rzeczy weselszych.

Od miesiąca obiegały pogłoski, iż Mickiewicz został... aresztowany. Opowiadano mianowicie, jakoby rzeźbiarz Rygier nie uiścił należytości za odlanie bronzowej figury Mickiewicza i z tego powodu odlewarnia nie chce jej wydać komitetowi. Złośliwi posuwali się jeszcze dalej, twierdząc, że wogóle figura nie została odlaną. Komunikat komitetu mickiewiczowskiego wyjaśnia sprawę, zadając kłam bajkom, rozsiewanym przez „najserdeczniejszych“ p. Rygiera. Były rzeczywiście pewne trudności odebrania figury, ale powstały one z przyczyn zupełnie niezależnych od wykonawcy pomnika. Już w styczniu jeden z architektów krakowskich widział figurę odlaną w pracowni Nelly'ego. Odlewarnia ta zbankrutowała, otworzono jej konkurs, a przepisy prawne stanęły na razie na przeszkodzie w natychmiastowem odebraniu figury. Potrzeba było pewnego czasu na załatwienie formalności, — załatwiono je wreszcie pomyślnie, a otrzymany świeżo list od p. Rygiera zawiadamia, iż w tych dniach figura Mickiewicza odejdzie już do Krakowa. W miesiącu maju pomnik ma być zupełnie ustawiony.

Drugie dzieło sztuki, na które również od dawna oczekiwaliśmy. Kurtyna pędzla Siemiradzkiego, nadeszła już do Krakowa. Na wiadomość o jej ukończeniu i wystawie zgłosili się natychmiast przedsiębiorcy z prośbą o pozwolenie fotografowania kurtyny i wykonania jej reprodukcyi. Ponieważ jednak Siemiradzki prosił w l'ście do prezydenta o pozostawienie mu prawa własności reprodukcyi, prezydent poruszył tę sprawę na ostatniem posiedzeniu rady miejskiej. Przedstawił ją przychylnie dla żądania artysty, zwracając słusznie uwagę, że wobec nizkiego honorarjum, nieodpowiadającego ogromowi pracy i wartości dzieła, byłoby rzeczą niewłaściwą odmawiać Siemiradzkiemu prawa, mogącego mu zapewnić niewielki wprawdzie, ale zawsze pewien dochód dodatkowy. Rada podzieliła jednogłośnie zapatrywania prezydenta.

Mało brakowało, a mogliśmy mieć kurtynę, nie mając dyrektora teatru. Kogo stać na humor, mógłby napisać dowcipną epopeę na tle dziejów kontraktu dzierżawnego teatru krakowskiego. W pierwszej pieśni można byłoby opisać, jak się do sformułowania kontraktu zabierano, w drugiej wystąpiłaby homeryczna walka o paragrafy pomiędzy znawcami a komisyą teatralną, trzecią pieśń, godną pióra Lama lub Prusa, stanowić by mogla dyskusya nad kontraktem w radzie miejskiej, w czwartej pieśni wreszcie dałyby się świetnie wyzyskać półroczne zabiegi o podpisanie kontraktu z p. Pawlikowskim. Miałbym wielką ochotę, gdyby nie brak czasu, przekonać się naocznie, jak wygląda ten dokument, na którego przepisanie dwustu dni i nocy było potrzeba — musi to być arcydzieło kaligrafii, ozdobione zapewne artystycznemi inicyałami, lub też dzieło sztuki wykute w kamieniu na kształt dekalogu Mojżesza. Kiedy jednak kontrakt już był gotowy, kiedy wezwano dzierżawcę teatru do podpisu, ten nie zjawił się w oznaczonym terminie. Zebrała się więc powtórnie komisya, lecz znowu darmo oczekiwała na przybycie p. Pawlikowskiego, a otrzymała od niego tylko list, oświadczający, iż przyjść nie może, ponieważ.... żona jego jest słabą. Nie chodziło jednak panu P. o migrenę żony, lecz o wywarcie nacisku na radę miejską, aby mu przyznała odszkodowanie strat, jakie poniósł przez opóźnienie terminu otwarcia teatru. Obstupuerunt omnes; dzierżawca, prowadzący teatr od sześciu miesięcy, nie podpisał kontraktu dzierżawy: — to już żart nieco za gruby nawet na p. Pawlikowskiego, do którego „trafnych figlików“ poczęto się już przyzwyczajać. Komisya bardzo słusznie czuła się obrażoną, więc doniosła w lapidarnych słowach p. Pawlikowskiemu, że daje mu 24 godzin czasu do namysłu. I p. Pawlikowski namyślił się w 23 godzinach, bo w dwudziestej czwartej położył swe nazwisko na dokumencie kontraktowym. Coby było, gdyby się nie namyślił, trudno przewidzieć, ale zdaje się, iż po ultimatum, nastąpiłoby wypowiedzenie wojny i służba miejska wyprowadziłaby sromotnie dzierżawcę Muz z ich przybytku. Proszę nie sądzić, że opowiadam humoreskę, bo wszystkie przytoczone fakty zanotowały dzienniki w podobnym sensie, a tylko nieco w odmiennych słowach.

Kiedy mowa o teatrze, zaznaczyć wypada hałas, jakiego narobiła komedya Zalewskiego „Jak myślicie?“ W zdaniu o niej rozdzieliła się publiczność i rozeszło się dziennikarstwo. Jedni ją wynosili pod niebiosa, widzieli w niej nowy zwrot w komedyo-pisarstwie, drudzy ją ganili, nazywali melo-dramatem, nie dopatrywali się w niej niczego oryginalnego. Reforma drżała od zachwytu, Czas wywinął się zręcznie, nie chcąc otwarcie wypowiedzieć swego zdania, a Głos Narodu potępił w czambuł i sztukę i autora, nie uchylając się od osobistych wycieczek na tle jego pochodzenia. Kiedy czas „wszystko niszczący“ miał już położyć ko-

niec gorącej zdań walce, dolał oliwy do ognia p. Ignacy Rosner przez nadesłanie z Wiednia do Czasu artykułu, dowodzącego mniej więcej, iż „Jak myślicie?“ jest plagiatem dramatu Echegeraya O'Locura o Santidad (świętość czy obłęd). Artykuł ten narobił wrzawy, choć jasnem było dla ludzi zastanawiających się nad tem, co czytają, i znających przeszłość literacką Zalewskiego, iż odkrycie p. Rosnera nie miało żadnej podstawy. Odpowiedział mu też p. Zalewski w sposób dość dotkliwy, choć niby grzeczny. Najlepiej na tem wszystkiem wyszedł Echegaray, gdyż zaczęto czytać jego dramat w niemieckiem tłomaczeniu biblioteki Reclama. Związek literacki poświęcił mu jeden ze swoich środowych wieczorów. Dyskusyi wreszcie nie koniec, gdyż w tymże samym związku będzie miał pogadankę o sztuce „Jak myślicie?“ p. Zygmunt Sarnecki, która zapewne wywoła ożywione starcie między naszymi krytykami literackimi i kandydatami na krytyków.

Na zakończenie kilka drobnych wiadomości. W towarzystwie „Sokół“ trwała zacięta walka na dwóch walnych zgromadzeniach: upadł wprawdzie wniosek udzielenia wotum nieufności wydziałowi, ale autor wniosku został wybrany do wydziału. — Krakowska kasa oszczędności wykazała 85.000 złr. czystego zysku za rok ubiegły; z tego przeznaczono 20.000 złr. na wzmocnienie funduszu budowy Muzeum techniczno-przemysłowego, 20.000 złr. „na cel dobroczynny i użyteczny miejscowy, później określić się mający“ i 6400 złr. na zapomogi dobroczynne. — Powstała myśl zakupienia wieczystej mszy na Wawelu za duszę śp. Łepkowskiego. — W muzeum narodowem otworzono wystawę kościuszkowską, o której zdam sprawę w przyszłej korespondencyi. — Dr. Władysław Natanson, docent fizyki na Uniwersytecie Jagiellońskim, otrzymał tytuł profesora. — Profesor Maryan Sokołowski został członkiem Towarzystwa archeologicznego w Moskwie i Towarzystwa historyi sztuki we Wrocławiu. — W teatrze przedstawiono wczoraj po raz pierwszy „Urocze oczy“ Sarneckiego.

K. Bartoszewicz.

Kronika Warszawska.

2 kwietnia.

(O kobietach i Cechach. — Protest przeciw nieistniejącemu gwałtowi. — Spartańskie wychowanie chłopców w niektórych cukierniach. — Zwyczaje dziennikarskie: kiedy bywamy solidarni, a kiedy nie. — Cechy pracy intelektualnej — Kasa literacka. — Warunki wydawnicze. — Literatura i dziennikarstwo — Osobliwość naszego piśmiennictwa.

W jednym z pism, o ile sądzić można dobrze poinformowanych, czytamy następującą wiadomość o sprawie przyjęcia kobiet do cechów:

„Jakkolwiek w ustawie obowiązującej z roku 1815 niema wzmianki o kobietach, lecz tylko o wdowach po majstrach, jednak p. Prezydent na zapytanie starszych krawców zgodził się zrobić ustępstwo i dopuścić kobiety-mistrzynie do zgromadzenia z ograniczeniem niektórych praw.“

Dalej zaznaczając, że pewna grupa opierając się na tem postawiła odpowiedni wniosek na porządku dziennym w sekcyi rzemiosł dodaje tenże autor:

„Zaznaczamy, że o ile wiadomości nasze są prawdziwe, a o to staraliśmy się usilnie, grupa owa nie miała żadnych zapędów reformatorskich. Chodziło jej o zapewnienie szybkiej pomocy tym pracownicom, które dziś bez niej obchodzić się muszą, a która im się należy, jako jednostkom produkcyjnie pracującym.

„Dodam jeszcze, aby inne zarzuty odeprzeć, że wniosek nie ma wcale na celu wytworzenia lub powiększenia liczby pracownic, lecz tylko zorganizowanie samopomocy, a nadto, że te pracownice nie będą się znajdowały w żadnej zależności od majstrów cechowych, albowiem i dziś czeladnicy, należący do zgromadzenia, mogą pracować, gdzie im się podoba i nie tracą swych praw, byle tylko wypełniali obowiązki członków gospody.“

Nie rozumiemy wcale, jakie znaczenie ma umieszczony w tem samem piśmie protest przeciwko tej grupie jakiejś pani, zaznaczającej w końcu, że uważa za szkodliwe przymusowe zapisywanie kobiet do cechów? Przecież tu o przymusie nie ma i nie może być mowy.

Niezawodnie, że należność do cechu pociąga za sobą liczne korzyści; ale też obecna organizacya ich ma wiele wad, które, jak to zwykle bywa, więcej rzucają się w oczy, niż dodatnie strony, niedostrzegane wskutek nawyknienia do nich. Wartość ich poznają dopiero ci, którzy je tracą.

Jednę z takich wad wytyka inne pismo, mówiąc:

„Od majstrów, którym cechy wydają świadectwa uzdolnienia, nikt nie żąda egzaminu z obyczajów, ani z umiejętności wychowywania dzieci im powierzonych, a przyszłych obywateli.“ To też bywają bardzo nierzadkie nadużycia a jeden z krzyczących przykładów znęcania się nad chłopcami przez właściciela cukierni ogłosił przed paru tygodniami „Kurjer Codzienny“. Inne pisma nie zsolidaryzowały się z „Kurjerem“, nie podniosły krucyaty przeciw gwałtom, idzie tu o bicie polanami po głowach, kaleczenie nożem i t. d.), które może powtarzają się w dalszym ciągu, z dodatkiem drwin na Don Kiszota, który obrał „Kurjerka“ za pole do walki z olbrzymami ciemnoty i barbarzyństwa... Więc pyta się wspomniane pismo, porównując zachowanie się prasy do obojętności ludności wiejskiej wobec pożaru:

„Czy dziennikarstwo nasze jest więcej czułe na niedolę bliźniego, jeśli o tej niedoli dowie się z ust kolegi, z którym bądź z powodu konkurencyi materyalnej, bądź jakiejś innej animozyi, ma na pieńku?... czasem jesteśmy podobniejsi więcej do obywatelki z małego miasteczka, która dla tego przybywa przed innymi na zabawę, aby zająć pierwsze miejsce na kanapie.“

Nie zawsze jednak tak bywa, niekiedy umiemy ratować kolegę (zwłaszcza jeśli jesteśmy z nim „dobrze“) i zdobywamy się w tym celu na nadzwyczajny dowcip.

Oto np. jedno z pism chcąc przyjść w pomoc pewnemu autorowi, którego sztuka nie miała powodzenia na scenie i uznana została za słabą przez krytyków, zaczyna zachwalać osobiste zalety autora:

„Wysoki, zręczny, gibki, zręczny w kibici, w ramionach rozrosły, o twarzy bardzo inteligentnej, ściągłej, przyciągającej, o oczach wyrazistych i płomiennych robi p. X. wrażenie bardzo dodatnie. Patrząc na niego, od razu strzela do głowy myśl:

— Ten człowiek wyróżnia się z szarego tłumu „jadaczów chleba“; musi posiadać osobną wagę i wartość“...

Szkoda, że ów życzliwy kolega, który może niekoniecznie zręcznie, ale z pewną dobrą chęcią stara się przysłużyć autorowi nieudanej sztuki, nie poradził mu samemu zamiast niej pokazać się na scenie.

Skoro wszystkie rodzaje pracy zręcznie połączone są w cechy, dla czego by nie miały istnieć „cechy“ pracy intelektualnej? Cechy np. nauczycielskie lub literackie? Zestawienie to brzmi dziwnie dla tych, którzy przywykli widzieć coś niezmiernie wyższego w pracy „głową“ zapominając o całym szeregu stopni przejściowych od rzemieślnika do artysty z jednej strony, od pisarza i nauczyciela do reportera i bakałarza z drugiej.

Zatrzymajmy się np. na tych wszystkich, którzy piórem zarabiają sobie na życie. Takie korzyści mogła by dać im organizacya, nie powiem już cechowa, ale jakakolwiek bądź fachowa. Gdzieindziej istnieją kasy do pomocy literatów, kluby literackie i inne stowarzyszenia, w których można się poznawać, korzystać z wzajemnej pomocy i wsparcia. U nas niema nic podobnego; a jeśli coś jest — to tak głęboko zagrzebane, że o tem ani się dopytać, ani się tam dopukać nie można. Czyż nie lepiej byłoby np. otrzymać zapomogę w razie choroby od takiej kasy literackiej, niż narażać się na hałaśliwe sposoby, z którymi nieraz przychodzą w pomoc koleżeńskie i niekoleżeńskie pisma, a które wywołują, jak to było niedawno z powodu choroby jednego z dość znanych pisarzy, wykrzykniki innych: „Wolałbym zginąć z głodu, niż narażać się na takie współczucie.“ Albo wystawmy sobie, że ktoś napisał książkę i chciałby ją wydać. Pożyczyć parę set rubli na takie przedsięwzięcie w Warszawie — to rzecz prawie niemożliwa. Któżby pożyczył literatowi? Nawet długobrody antykwaryusz z Św.-Krzyzkiej nie ufa mu i pogardliwie nazywa „bosonogim literatem“.

— Jakież pan gwarancye przedstawia? — pytają nasamprzód.

— Ależ nakład panie! W najgorszym razie coś się rozsprzeda; resztę uiściłbym z własnych zarobków w razie niepowodzenia.

Pół ukryty uśmiech jest jedyną odpowiedzią na ten literacki optymizm. Tymczasem czas nagli, autor widzi się zmuszonym iść do księgarza. Ale księgarze robią minę wielkich panów.

— Panie! Kto dziś czyta takie poważne rzeczy (rękopis był przypuśćmy powieścią), ciężkie czasy dziś na literaturę i t. d. i t. d.

Nareszcie wędrując od Anasza do Kaifasza natrafia nasz skłopotany i zniechęcony autor na wydawcę, który nie dba o treść, bo wie, że każdą książkę „zepchnie“. Idzie mu tylko o to, żeby tanio zapłacić za rękopis. I targ zawarty: autorowi przyrzeka się połowa czystego zysku, na który może czekać będzie lat dziesiątek, a może i nigdy się nie doczeka...

Cóż dziwnego, że literaci coraz więcej przedzierzgują się w dziennikarzy? Kto nie ma jakichś środków utrzymania, niezależnych od pracy, pozwalających mu spokojnie i bez pośpiechu wykuwać i wyrzeźbiać wyższe utwory, nie spieszyć z wyszukaniem wydawcy lub wydać własnym nakładem — ten zwraca się do dziennika, bo dziennik choć źle płaci, ale stale. W ten sposób literatura upada, a mnoży się dziennikarstwo.

Nie będę tu mówił o różnicy tych dwu rzeczy w samych sobie i o tem, jak każda z nich oddziaływa na rozwój umysłowy społeczeństwa. Wiele o tem mówiono i pisano, a jeszcze więcej dałoby się powiedzieć. Skarżono się, i mojem zdaniem słusznie, że u nas nie umieją rozróżnić dziennikarza od literata: a jeśli ten brak różnicy przyczynia się do tego, że każdy reporter (a zwłaszcza na prowincyi) ukazuje się w oczach bardzo młodych panienek w całej aureoli blasków idejowych, w której skład wchodzą promyczki Dantów i Mickiewiczów, Koperników i Newtonów — to z drugiej strony nie ta jest prawdopodobnie przyczyna tej arogancyi, z którą w Warszawie każdy przeciętny „inteligent“ traktuje człowieka idei i talentu.

Jest jeszcze jedna osobliwość, uderzająca w naszem piśmiennictwie. Ktokolwiek je bliżej poznał, dostrzega ze zdziwieniem, jak mało w nim książek, na których można się kształcić. Nie mówię tu o braku książek elementarnych — tych jest dosyć, bo na nie jest ciągłe zapotrzebowanie. Mam tu na myśli te książki, tak liczne w innych, nawet mniej oryginalnych od naszej literaturach, a tak poczytne gdzieindziej, przy których pomocy uzupełniają się i doprowadzają do harmonii nabyte w szkole wiadomości, wyrabia się pogląd na świat i przekonania życiowe. Takich wychodzi bardzo mało. Zdaje się, jakby literatura nasza szczególniej lubowała się w kwestyach jak najbardziej oderwanych od życia, jak najbardziej egzotycznych; to ukaże się elementarz arabski, to szkice z wnętrza Afryki, lub podręcznik do ćwiczenia się maczugami i wychodzi cały szereg książek naukowych, mniej lub więcej trafnie wybranych dzięki poparciu rozmaitych instytucyi: lecz tego, co stanowi wiązek właściwej literatury, tyk książek, które traktują o zagadnieniach, mających bliski związek z życiem, ale nie w sposób dziennikarski, nie ma prawie oryginalnych, ani tłomaczonych.

Zkąd to pochodzi? Zdaje mi się, że dwa czynniki wywierają tu wpływ główny: z jednej strony pisma poważniejsze — miesięczniki zwłaszcza — trzymają się na pewnych wyżynach akademickich:

— Jesteśmy pismem dla ludzi skończonych, mawiają zwykle ich redaktorzy, zapominając

o tem, że człowiek kształci się przez całe życie, zatem nigdy nie jest „skończony“.

Z drugiej strony, pisarze, którzyby mogli stworzyć taką literaturę, ci, którzy przy gruntownej nauce, czują jednak tętno życia w sobie i dla tego nie chcą i nie mogą fabrykować zmumifikowanych traktatów, któreby mogły otrzymać od rozmaitych popierających ścisłą wiedzę instytucyi stempel naukowości, tacy zmuszeni są iść do dzienników, zostawać dziennikarzami nieraz wbrew rzeczywistemu powołaniu.

Gdzieindziej książki powstają z artykułów poprzednio drukowanych w miesięcznikach: może większa część książek naukowych francuzkich ma takie pochodzenie: u nas to jest prawie niemożliwe; jeśli książka ma być tak popularna, ażeby odpowiadała potrzebom czytelników i miało dostateczny pokup, miesięcznik jej nie umieści. Jeśli będzie odpowiadała wymaganiom miesięczników, żaden księgarz nie odważy się jej przedrukować, obawiając się, że będzie „za ciężka“.

Wprawdzie ten pesymizm księgarzy nie jest uzasadniony: przeciwnie, doświadczenie pokazuje, że choćby najpoważniej zredagowane dzieło, ale dobre, mające wartość rzeczywistą, zostanie wcześniej lub później wyczerpane. Ale księgarzowi idzie o prędki zysk i nowe umieszczenie kapitału. Oprócz zaś księgarzy nikt wydawnictwami obecnie się nie zajmuje. Istniejące spółki nakładowe zawiesiły swoje wydawnictwa i skarzą się na stagnacyą. *X.*

Z estrady i sceny.

Drugi koncert Artura Argiewicza.

Jaknajkorzystniejsze wyniosłem wrażenie, przysłuchując się po raz drugi grze młodego artysty, korzystniejsze nawet, jak za pierwszym występem. Utwory bowiem wykonane na środowym koncercie (dnia 18 marca), są pisane więcej w lekkim, koncertowym stylu, odpowiadały też widocznie bardziej dziecięcej, choć tak bogato wyposażonej naturze, niż kompozycye wykonane w I-szym koncercie, mianowicie poważny koncert Brucha wymagający wielkiej siły i potęgi tonu, na jaką nie stać chwilowo młodego wirtuoza, pewnej męzkości w oddaniu głęboko odczutych melodyi, jak i pogłębieniu gry w ogólności, czego dopiero w przyszłości można się spodziewać. Jeżeli więc pod względem duchowym VII koncert Beriot'a wykonany w ostatnim koncercie, przystępniejszym się okazał młodocianemu artyście, to i rownież technicznie daleko łatwiejszy od koncertu Brucha tem dokładniej wyszedł z pod palców wirtuoza. — Świetnie wypadł ustęp Iszy koncertu, z siłą i biegłością wykonany, jak i niemniej ustęp IIci, odegrany z humorem i elegancją, za to melodyjne nadzwyczaj Andante mimo wielkiej śpiewności tonu nie było wolne od pewnej maniery i przesady, a wskutek ciągłej wibracyi tonu i nieprawidłowego portamento dużo utraciło na rzeczywistej piękności. Fantazja Alarda na tenata Fausta Gounoda, utwór zręcznie ułożony, ale bez głębszej wartości muzycznej, wykonał koncertant z całą swobodą i naturalnością, wykazując nadto niezwykłą samodzielność tak w traktowaniu melodyi, jak i wiele zacięcia w rytmicznych ustępach.

Zniewolony hucznemi oklaskami do naddatku, wybrał mały skrzypek śliczną Legendę Wieniawskiego, którą sympatycznym tonem i z szczerem uczuciem odegrał.

Na zakończenie zagrał mały artysta Nachez'a Taniec cygański, w którym zajaśniał raz jeszcze całym blaskiem świetnej swej brawury i sztuki reprodukcyjnej, pokonując z łatwością znaczne trudności, jak: szalone pasaże, trudne flażeolety i często zastósowane pizzicato lewą ręką na przemian z krótkiemi uderzaniami smyczka, — jednem słowem cały spis wyrafinowanych trudności koncertowych.

Wyjątkowe stanowisko, jakie Artur Argiewicz pomiędzy cudownemi dziećmi zajmuje, nie zawdzięcza on zdaniem mojem jedynie swej zadziwiającej wprawie technicznej, nie tyle czystej intonacyi połączonej z wielką śpiewnością tonu i elegancyi w prowadzeniu smyczka, jak raczej wyjątkowej artystycznej inteligencyi i dojrzałości, która się w jego produkcyach wszędzie przebija i nas w zdumienie wprowadza. Technika nie służy mu, jak to wielu innym za cel, lecz raczej jako środek do tem jaśniejszego pojmowania i zapatrywania się na sztukę; w tem uduchowieniu całej gry leży wedle mego zdania wyjątkowa wyższość młodego artysty nad towarzyszami.

Wielka to zasługa dotychczasowego nauczyciela młodego mistrza, p. Rosena — ucznia Izydora Lotto — któremu świat zawdzięcza już kilku dzielnych artystów, a między tymi Warszawiaka Bronisia Hubermana — że umiał od razu odgadnąć tę bogato i wyjątkowo wyposażoną naturę dziecka i szczęśliwie zastosowawszy metodę swoją, tak pokierował nauką, że nie przytłumił indywidualności ucznia, ale ją rozwinął w całej pełni.

P. Rosen może z osięgniętego rezultatu być dumnym, bo w uznaniu, jakie oddajemy Arturowi Argiewiczowi leży zarazem uznanie wielkiego pedagogicznego talentu nauczyciela. Mały koncertant, gdzie tylko wystąpił budził ogólny zapał i zachwyt i zjednał sobie również uznanie największego mistrza gry skrzypcowej: Józefa Joachima. W tem uznaniu leży rękojmia świetnej przyszłości genialnego chłopca i jeśli siły fizyczne i zdrowie, dotąd wyborne, nadal mu dopiszą, to z pewnością Artur Argiewicz w przyszłości jako jeden z najwybitniejszych skrzypków zasłynie. — W koncercie wzięła także udział pianistka p. Hermina Lüders i odegrała cudną Fantazyę Fmoll Chopina poprawnie, ale trochę sucho. Dalsze za to produkcye jak Gawot Rubinsteina, Romanca Schumanna i nieco ekscentryczny polonez Czajkowskiego z opery „Eugeniusz Onegin“ w opracowaniu Liszta zainteresowały słuchaczy w wyższym stopniu, wykazując wiele dobrych przymiotów młodej pianistki. W końcu dodajemy, że młody koncertant wystąpi dziś w sobotę w teatrze polskim. Sądzimy, że publiczność, która dotychczas nie miała sposobności usłyszeć Artura Argiewicza, skorzysta z okazyi i zapełni Teatr po same brzegi.

Ed. Jahnke.

KRONIKA LITERACKA

Marya z Fredrów Szembekowa,

Wiersze ulotne.

Czy mnie pochwala, czy też ostro gani,
Sąd obcy ja zawsze cenię!
A nerwy moje oburza i rani
Jedynie tylko milczenie.
Bo mogę różne mieć błędy, przywary,
Niejeden pogląd zbyt dziki;
Alem świadomy swej siły i miary,
Wiem, że wart jestem krytyki!

Dumne twoje słowa, sympatyczna autorko, ale masz do nich prawo poniekąd. Przyznaję otwarcie, że biorąc do ręki wytwornie oprawny tomik poezyi Maryi Szembekowej, uczułem coś w rodzaju obawy; myślałem bowiem, że „odbywając Dantejską wędrówkę po kręgach rymów“, upiję się wonią różyczek, świergotem ptaszków, lazurami, błękitami, tęczami i całą tą dekoracyą szablonowego liryzmu, któremi miejscowe autorki zalewają redakcye a niekiedy nawet uszczęśliwiają księgarnie. Przeczucie jednak, ten „mędrców podziw“ tym razem omyliło krytyka, bo zamiast pseudo-Mussetowskich westchnień, znalazłem zdrowe natchnienie, zamiast kobiecego sentymentalizmu prawdziwie męzką siłę protestu i rycerską pobudkę bojową.

Autorka rzadko tylko się rozmarzy, rzadko uderzy w nutę pieściwej piosenki — natomiast z lubością rzuca przekleństwa z narodowych, społecznych lub etycznych wysnute motywów, a wtedy jest w gromach jej niekiedy siła prawdziwa i płomienny gniew. Ta szczerość uniesień, ta krewkość młodzieńcza, ta boleść głęboka pozbawiona wszelkiej sztuczności i wszelkiego werteryzmu, są niejako rozgrzeszeniem dla autorki wobec pewnej pospolitości stylu i wiązań rymowych. Gdzieniegdzie zabłąkał się do tomika „Wierszy ulotnych“ jakiś banalny drobiazg, który nie powinien nigdy w świat frunąć z teczki autorskiej, gdzieniegdzie uderzyła mnie lekka reminiscencya (Legenda) lub ubóstwo formy, ale całość wywiera wrażenie korzystne i talentowi autorki zaszczytne wystawia świadectwo.

W końcu jedno pytanie: Czemu w przekładzie jednego z najpiękniejszych ustępów Mussetowskiej „Rolli“ znajduje się miejsce, w którem zamiast słów, tylko cztery rzędy kropek widnieją? Poecie stała się krzywda. *R.*

* * *

— Lamparcie życie przez Gamastona. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Jest to szereg obrazków z życia petersburskich studentów Polaków. Barwy tam żywe, choć nieco jednostajne, typy prawdziwe, lecz nie wszędzie dokładnie indywidualizowane. Fabuła dość interesująca i pewna świeżość stylu wywierają korzystne wrażenie, ale brak oświetlenia, brak szerszych widnokręgów, obniżają wartość powieści.

* * *

— Listy z podróży Sienkiewicza. Przekład na język rosyjski W. M. Ławrowa.

Książka wydaną została nakładem „Ruskiej Myśli“, w której każdy utwór Sienkiewicza zjawia się w przekładzie. Redaktor tego pisma, p. Ławrow jest gorącym wielbicielem talentu naszego powieściopisarza. Książka zawiera listy z Afryki, list z Wenecyi, list z Rzymu i Nervi. Przekład jest umiejętny i staranny, wydanie porządne a względnie tanie.

KRONIKA POWSZECHNA.

— Ministeryum oświaty w Wiedniu zakupiło trzy obrazy Stachiewicza z cyklu „Legenda o Matce Boskiej“.

— Ważne dla Towarzystw przemysłowych: W Warszawie wyjdzie Album rzemieślnicze. Kopie wyrobów ślusarskich, bronzowniczych, stolarskich, dekoratorskich, złotniczych wykonano już w części światłodrukiem.

— Zbiory i biblioteka po Antonim Wadze pozostające dotychczas w Warszawie, przechodzą na własność krakowskiej Akademji Umiejętności.

— W Paryżu wywarła wielkie wrażenie ostatnia sztuka Bjornsona p. t. „Nad siły ludzkie“.

— W papierach Augusta Cieszkowskiego znajduje się dalszy ciąg filozoficznego dzieła p. t. „Ojcze nasz“. Jest to praca znacznych rozmiarów — około 8 tomów — z których połowa stosownie do życzenia autora znajdzie gościnność w rocznikach Tow. Przyjaciół Nauk.

— Pan dr. Erzepki wyjeżdża niebawem do Padniewa dla dokładniejszego zbadania licznych grobów przedhistorycznych, które odkryto na terytoryum Padniewskiem.

— Znany autor „Szkiców“ Adam Szymański, bawiący obecnie w mieście naszem, zbiera materyały do rozprawy z dziedziny przemysłowo-rolniczej.

— W marcowym zeszycie „Wiestnika Jewropy“ znajduje się tłomaczenie utworu Maryi Konopnickiej p. t. „Bez dachu“. Przekładu dokonał p. M. Gerbanowski. W tym samym zeszycie spotykamy studyum Włodzimierza Spasowicza p. t. „Przyjaźń Goethego i Schillera“.

— „Janko muzykant“ H. Sienkiewicza ukazał się w przekładzie w miesięczniku gruzińskim „Moabe“ (Goniec), drukowanym w Tyflisie

BIBLIOGRAFJA.

— Askenazy Szymon. Studya historyczno-krytyczne. Kraków, 1894 — 5.50 mk.

— Asnyk Adam. Poezye przez El...y, tom IV (poświęcony uczestnikom powstania 1863 r.). Kraków 1894. — 4 mk.

— Czołowski Aleks. dr. Sprawa sporu granicznego przy Morskiem Oku, wywód historyczno-prawny — z polecenia wydziału krajowego (z 5 mapami). Lwów. 1894 — 5 mk.

— Heleniusz E. Wspomnienia polskich czasów, dawnych i późniejszych. Dwa tomy. Lwów 1894 — 10.80 mk.

— Junosza Kl. Pająki, obrazek z życia warszawskiego. Warszawa 1894. — 3 mk.

— Kasprowicz Jan. Anima Lachrymans i inne nowe poezye. Lwów, 1894. — 8 mk.

Odpowiedzi od Redakcyi.

— Pani K. S. w L. Sekretarjat któregokolwiek z uniwersytetów szwajcarskich dokładnie Panią poinformuje w tej sprawie. O ile nam wiadomo, uprawnia świadectwo dojrzałości z niemieckich pensyi rządowych do wstąpienia na wydział medyczny.

— Panu Cz. M. w Berlinie. Artykuł dla nas niestósowny. Radzimy spróbować szczęścia u pism codziennych.

— Panu T. w K. Krzyczą najwięcej ci, którzy numeru pierwszego wcale nie widzieli.

— Panu N. S. Dziękujemy za uznanie serdecznie.

Odpowiedzi Administracyi.

— Ogłoszenia przyjmujemy tylko do każdej środy godz. 12-ej w południe.

Za nakład i wydawnictwo odpowiedzialny: Masław Zmorski z Poznania. — Czcionkami W. Simona w Poznaniu.